POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień *Dnia 16-go września 1944r.* **Rok VI. Nr. 37**

WCZORAJ I DZIŚ FRANCJI

NA DNIE ZAWIEDZIONYCH NADZIEI

Gdy w roku 1940 opuszczaliśmy Francję, w sercach naszych nagromadziło się wiele goryczy. Goryczą tą obejmowaliśmy cały kraj. Najwspaniałomyślniejsi mówili, że między Francją dawną a obecną, Francją poprzedniej wojny i tą, z którą przestaliśmy właśnie mieć do czynienia, istnieje przepaść nie do zapełnienia.

Czyż można się dziwić? Doznaliśmy ciosu okrutnego. Po naszej własnej klęsce w proch walił się sprzymierzeniec, uważany za niezwalczonego, krzyczący jeszcze tak niedawno jaskrawością afiszów: "Zwyciężymy, bośmy silniejsi" — *"Nous vaincrons, parce que nous sommes les plus forts!"* Wstyd nam było, że ustępuje bez walki, że nas bez walki na łup oddaje. Przypominaliśmy sobie epizody tej *"drôle de guerre"* — brak zapału u żołnierzy, niechęć dowódców. Sędziwy marszałek Pétain, znany światu, jako mężny obrońca Verdun, meldował się u wyśmiewanego poprzednio przez Paryż kaprala i malarza pokojowego, którego teraz, na podobieństwo Bismarcka, tytułowano *"Le chancelier"* — Kanclerz. Chwalono Hitlerowi "umiar po zwycięstwie", jego "wspaniałomyślność". Kolaboracjoniści z pod ciemnej gwiazdy wyłazili z różnych zaułków i, stosownie do recepty Hitlera, z własnej woli pomagali najeźdźcom. Skalano Francję, kraj wolności, ponurym szowinizmem, głupią Judenhecą; jakiś nieznany przed tym namuł wydobył się z dna i zamącił przejrzystość myśli francuskiej, klarowność twórczego francuskiego ducha. Dowcip nawet, szampan galijskiej cywilizacji, stracił cały smak w przystosowaniu do gustu odbiorców z za Renu. Wydawało się, że to koniec wszystkiego: barbarzyńca rozsiadł się w domu Latyna, pił i pożerał.

A JEDNAK WIERNA . . .

A przecież . . . Ci, którzy w drodze do południowych i zachodnich portów Francji przemierzali ten kraj własnymi nogami, mówili inaczej. Mówili, że im nigdy nie odmawiano pomocy, gdy zaś to uczynił ogłupiały z lęku formalista — mer, zawsze się znalazł czy weteran tamtej wojny, czy nauczycielka ludowa, czy skromny wieśniak, który uchodzącemu z kontynentu żołnierzowi polskiemu dawał przytułek i pomoc, nieraz ryzykując własne życie. Spotykano zgraje pijanych maruderów, ale widziano także łzy w oczach i ludzi, mówiących: "Weźcie nas z sobą!" Pełno takich epizodów we wspomnieniach żołnierzy, uchodzących przed niewolą aż z pod linii Maginota czy z pod granicy szwajcarskiej. Będzie tych wspomnień więcej, z mapkami i nazwiskami, gdy Francja uwolni się cała i gdy nam przyjdzie czas na rozpamiętywanie przeżyć. Dziś prawdziwe uczucia Francuzów strzelają kwiatem zapału, kiedy witają naszych w Normandii, w Bretanii, we Flandrii i Lotaryngii.

A JEDNAK NIEZŁOMNA I NIEPRZEJEDNANA . . .

Gdy pierwsi Polacy znaleźli się po klęsce Francji na ziemi brytyjskiej, powitał ich w Londynie łopocący na wieży sztandar trójkolorowy i odezwy generała de Gaulle'a, wzywające Francuzów do oporu, w imię miłości ojczyzny, w imię godności narodowej, w imię honoru. Słowa, na które każde serce polskie zawsze oddźwięknie echem. Jak generał Sikorski w roku 1939, tak generał de Gaulle w rok później podejmował z prochu porzucony przez słabe czy niegodne ręce sztandar ojczysty. Nie będzie to żadnemu z nich zapomniane.

Ponad małoduszną politykę starca z Vichy, przez gorsze jeszcze sprzedawczykostwo ludzi ze sfory Lavala, zaczął wybijać się ton rzeźwy, zdrowy — prawdziwie francuski ton nieprzejednania. Dzwonił "Marsylianką" i nutą "Madelon", a kojarzył się i łączył w najdziwniejszych połączeniach. Linia podziału politycznego poszła inaczej, niż przed wojną, kierowana raczej miłością ojczyzny, niż doktrynami. Tak bowiem jest na świecie, o czym dowodnie przekonaliśmy się, my — Polacy, na świętym przykładzie własnego kraju, iż prawdziwe cierpienie i prawdziwa walka jednoczy, oczyszcza i łączy. Tylko zdrada i przekupstwo zostaje poza jednością myśli i czynów, gdy kraj walczy z obcym najazdem.

"MAQUIS" I POLSKI UDZIAŁ W WALCE PODZIEMNEJ

Z czasem, ton ten urósł w werbel bojowy, w pobudkę — i ponad bierność mieszczuchów wystrzeliło słowo *"Maquis"*. *"Maquis"* — ludzie z lasu, z gór, ludzie bez imion, bez twarzy, ludzie, oddani jednej myśli: walce z najazdem. Byli tam tacy, którzy uchodzić musieli z domów przed więzieniem lub egzekucją, przed branką na roboty do Niemiec, przed łapami Vichy, przed pazurami Gestapo. Niemcy mówili o nich: "komuniści"; byli i tacy między "leśnymi ludźmi", ale dopiero od momentu, gdy Sowiety podjęły narzuconą przez Niemców wojnę. Przedtem było inaczej; to pamiętamy dobrze z czasów pobytu we Francji.

W oddziałach *"Maquis"* bili się i Polacy. Skąd się tam wzięli? Jedni pochodzili z rozproszonych polskich oddziałów wojskowych, inni — z cywilnej emigracji. Wreszcie wielu było takich, którzy należeli do "starego" wychodźstwa polskiego we Francji: górnicy i robotnicy z pod Lille, z pod Lens, robotnicy rolni z Francji środkowej i południowej. Te pół miliona ludzi, które tak podstawowo zasiliły dywizje polskie w roku 1939 — 40, wniosło teraz również swój udział do *"Maquis"*. Bądźmy pewni, że gdzie się bito z Niemcami, tam Polaków nie zbrakło. Może Francuzi przypomną to sobie, gdy podrachowywany będzie wysiłek tej wojny.

UDZIAŁ POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH W "BITWIE O FRANCJĘ"

W tej chwili wyzwolenie Francji dokonywa się także i polskimi rękami. Polacy krwawo walczyli w Normandii, we wspaniałym boju pod Chambois, w całym szeregu bitew i potyczek, które wypędziły Niemców z nadbrzeża morskiego, które wypędzają ich z reszty Francji. Do żołnierzy polskich lgnie wdzięczna ludność, ale przede wszystkim lgną swoi. Znajdują oni między żołnierzami generała Maczka, przybyłymi z Wielkiej Brytanii, nie rzadko najbliższych, którzy w roku 1940 nie opuścili szeregów, lecz z nimi razem przepłynęli Kanał. Znajdują oni bliskich na pokładach polskich okrętów wojennych i handlowych, które biorą od początku nieustanny udział w bitwie o Francję, w bitwie o drugą ojczyznę Polaków. Znajdują ich w trzech dywizjonach polskich, które walczą już na ziemi francuskiej.

Kilka dziesiątków tysięcy ludzi przegnali Niemcy z Polski do Francji, aby użyć ich przy robotach wojennych. Ci ludzie także garną się do swoich, opromienionych sławą zwycięstwa. Z pewnością i z nich wielu zasili nasze szeregi. Tak więc na ziemi francuskiej dokonywa się nowe zjednoczenie Polaków z różnych ziem i okolic pod własnymi sztandarami. Nie pomogą na to żadne kłamstwa ani intrygi nieprzyjaciół Polski; Polak podświadomie nawet zdaje sobie zawsze sprawę, gdzie leży i czego wymaga interes narodowy. Wiadomo też, że raczej na kraj świata pójdzie służyć we własnych szeregach, niż by dał się zwabić obcym namowom.

ZNOWU RAZEM

Można stwierdzić, że w związku z przeniesieniem wojny na tereny francuskie powierzchowna fala niechęci do Francji, datująca się z roku 1940, bardzo szybko spłynęła. Przyczyniła się do tego wspólna walka z najeźdźcą i przekonanie się o istotnych uczuciach, ożywiających naród francuski. "Ciężki młot kruszy szkło, ale wykuwa bułat" — powiedział słusznie poeta. Tak też i Francuzi: po klęsce wstają do nowego życia, nie bez bolesnych strat, lecz bogaci w uczucia i doświadczenia, jakich im w latach ostatnich nie brakło.

Szczęśliwi będziemy, jeżeli tradycyjne uczucia, łączące Polskę i Francję, odżyją i zaczną kierować naszymi stosunkami. Wyjdzie to na dobre i nam, i Francji. Francja, mimo wielkiej roli, jaką odegrała i odgrywać będzie na świecie, nie należy dziś do największych potęg europejskich. Dobrze więc, w czasie, gdy silni uderzają pięścią w stół i usiłują innym narzucić swoją wolę, aby ci, którzy nie są wyznawcami "siły przed prawem", poczuli się w łączności między sobą.

Jednej rzeczy uczy nas "wczoraj" i "dzisiaj" Francji. Tego mianowicie, że polityka przemija, a prawdziwe uczucia narodów biorą nad nią w końcu górę. Nigdy więc nie trzeba urabiać sobie ostatecznego poglądu o narodach na podstawie ich chwilowej polityki, nigdy tym więcej uzależniać od tego swego postępowania. Cztery lata temu widzieliśmy klęskę Francji; dziś jesteśmy świadkami jej zmartwychpowstania. Sami na sobie widzimy różnicę stosunku do Francji, wywołaną między innymi stwierdzeniem prawdziwych uczuć jej mieszkańców, nie tych, co paskowali przy Niemcach i starali się zbijać grosz na krzywdzie własnych współrodaków, ale tych, co cierpieli, walczyli i w końcu przyczynili się do zwycięstwa.

Czekajmy końca. Bywa on nieraz całkiem nieoczekiwany, w myśl powiedzenia, że "Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy".

Strzeżmy się uczucia zawiści. Wzięto Paryż, odebrano Brukselę. Nie zazdrośćmy Francuzom i Belgom; czyż to oni odmówili Amerykanom lądowisk dla Warszawy? Radujmy się klęską Niemiec, do której się przyczyniamy. I pamiętajmy. I liczmy. Bo kiedyś przyjdzie obrachunek. Odmierzony. Kupiecki. Zysków i strat.

Widzimy, że zmieniają się drogi polityki, prędzej, niż serca narodów. Pamiętajmy, gdzie i kiedy okazano nam serce. Z pewnością znajdzie jeszcze ono swoją mocną wymowę, głębszą i trwalszą, niż przejściowa koniunktura dnia.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

HENRYK GOTLIB: Stabat Mater

Pierwsza reprodukcja niedawno ukończonego obrazu wielkich rozmiarów /2.40 × 2.10 m./. Jest to już trzecia — po "Warszawie" i "Mickiewiczu wracającym do Krakowa" — część polskiego tryptyku, wykonanego w czasie wojny. Za pomocą kilku prostych znaków odtwarza tu malarz tragedię życia w Kraju pod okupacją. "Stabat Mater" zostanie wystawiona w Royal Academy z początkiem października b.r.



Przegląd tygodniowy

"DARKNESS OVER WARSAW"

Sześć tygodni osamotnionej walki Warszawy dobiega końca. Gdy to piszemy trwa jeszcze rozpaczliwy opór bohaterskiego miasta. Jeszcze na jego ruinach są chorągwie biało-czerwone.

Od trzech tygodni było ono bez pomocy. Dopiero ostatnie dni przyniosły pewną zmianę. Ale pomoc naprawdę skuteczna, nie zależała wyłącznie od dobrej woli naszych sprzymierzeńców brytyjskich i amerykańskich przyjaciół. Wiadomo dziś powszechnie, dlaczego nie doszła do skutku. I jeśli dziś tylu Polaków z goryczą myśli o tej sprawie pomocy Warszawie, jeśli niewypowiedzianie gorzki był rozkaz Naczelnego Wodza do Armii Krajowej na 1 września, musimy przecież pamiętać, że pomoc szła z baz bardzo odległych, z pokonywaniem trudności i niebezpieczeństw ponad zwykłą miarę, że co raz mniej samolotów docierało, co raz mniej powracało z wypraw nocnych, a wielkie masowe operacje wymagałyby lądowania na wschód od Warszawy. Bez tego operacja wychodziłaby poza granice tego, co dotąd uważano za wykonalne, choć nie była całkiem niewykonalna, zdaniem fachowych czynników nie tylko polskich.

Fakt, że nie przyszła żadna pomoc dla Warszawy od wschodu, że nie można była jej ponieść stąd, lądując na wschodzie, poruszył głęboko sumieniem wszystkich wolnych narodów. Nawet pewien głos z polskiej strony, raniący brytyjską dumę narodową i wywołujący na ogół ostre sprzeciwy, przyjęty został przez wielu Brytyjczyków, a nawet przez niektóre pisma, z wyrozumieniem.

Z jednolitą zaś i wręcz przeciwną reakcją spotkały się zdumiewające wywody lubelskiego "Wodza Naczelnego" Roli-Żymierskiego, który wbrew faktom zarzucał bohaterskiemu dowódcy Armii Krajowej, jakoby pomocy sowieckiej nie chciał, jakoby nie podał potrzebnych do niej elementów technicznych; gen. Żymierski tłumaczył bezcelowość pomocy tym, że jakoby powstańcy trzymali tylko odosobnione punkty i gmachy, pomoc zatem wpadałaby w ręce niemieckie.

Odpowiada na to "*Tribune*": "Nie pamiętamy żadnej krytyki dawniejszych konwojów do Rosji, opłacanych takimi ofiarami w okrętach, ludziach i sprzęcie. Nikt nie mówił, że nie warte były tych strat, skoro część tylko sprzętu docierała". Czytamy również w "*Time and Tide*": "Niewątpliwie część zrzucanej broni wpadała w ręce Niemców, ale kilka ton sprzętu może być wszystkim dla powstańców w ich rozpaczliwej potrzebie a mało znaczy dla Niemców, posługujących się w każdym razie raczej cięższym sprzętem. Twierdzeniu zaś, że postańcy trzymają tylko pojedyncze punkty, przeczy po prostu fakt ciągłego bombardowania przez Niemców lotnictwem i artylerią, trzymanych przez Polaków części miasta".

Wiele pism traktuje sprawę Warszawy i Polski jako "*test case*", probierz tego, ku czemu się idzie. Socjalistyczna "*Tribune*" stwierdza: "Polityczne traktowanie tej sytuacji przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego i prasę rosyjską więcej wyrządziło szkody dobremu imieniu Związku Sowieckiego, aniżeli jakiekolwiek inne zdarzenie od wybuchu wojny z Rosją w czerwcu 1941 roku". Katolicki "*Tablet*" pisze o niebezpieczeństwie zawisłym nad światem.

W chwili kiedy Londyn po mężnym przetrwaniu ostatniej już może groźnej próby jest w przededniu zniesienia "*black-out'u*" i zabłysnąć ma zwycięsko setkami tysięcy świateł, gdy Paryż, Bruksela, Luxemburg są pijane odzyskaną wolnością, Brytyjczycy z bólem wspominają pogrążającą się w mrok głęboki Warszawę. Piszą o "*Darkness Over Warsaw*" — o "ciemności nad Warszawą". Dla nas jest to "*black-out*" po tylu żałobach najcięższej żałoby.

BITWY NA PRZEDPOLACH RZESZY

Ofensywa Sprzymierzonych na Zachodzie poczyniła dalsze postępy ku granicom Rzeszy. Idąca z południowej Francji armia gen. Patcha już zdobywa Dijon, dotarła do t.zw. luki belforckiej, bije się pod samym Belfortem, nawiązała łączność z prawym skrzydłem grupy armii amerykańskich Bradleya. Z nich armia 3-cia Pattona nad Mozelą bije się już ciężko o Toul i Nancy, Metz, Thionville, wywalczając co raz nowe przedmościa, łamiąc niemieckie przeciwnatarcia i gromadząc siły i sprzęt do uderzenia na linii Zygfryda. Armia 1-sza gen. Hodge po obu brzegach Mozy zbliża się do granicy Nadrenii. Armia 2-ga brytyjska gen. Dempsey po zaciętej bitwie wywalczyła przejścia przez kanał Alberta, ostatnią zaporę przed granicą holenderską i Renem; wkracza czołowymi elementami do Holandii, a lewym skrzydłem osiągnęła Antwerpię z niezniszczonym ogromnym portem i Gandawę. Armia kanadyjska Crerara przypiera odcięte, znaczne siły niemieckie do morza; unicestwiła ich próby przebicia się naprzód na wschód, wzięła Ostendę i Zeebrügge, likwiduje słabnący opór poszczególnych grup pod Dunkierką, Calais i Boulogne. Na prawym jej skrzydle nasza Dywizja Pancerna, przełamując kolejne opory zdobyła Ypres, posuwa się na Bruges.

Przeciwnik stawia rozpaczliwy opór. Nowy dowódca na tym froncie gen. Model, rozkazem dziennym zaklina swe wojska, by walką zdobywały czas dla swego Führera. Czasu istotnie potrzeba, ażeby zaimprowizować jakieś nowe armie w miejsce zniszczonych lub rozbitych we Francji, z których niedobitki — najwyżej 20 dywizyj — biją się teraz na rozległym froncie od morza do granicy szwajcarskiej, zasilone kilkunastu innymi ściągniętymi z innych frontów i odległych kątów Europy.

Daleko w tyle trzymają się jeszcze załogi niemieckie Le Havre i Brest, już potężnie atakowane przez Sprzymierzonych. Tłumy Niemców odciętych od sił głównych stopniowo z oporem lub bez oporu, idą w niewolę. Bywają one zresztą bardzo nieprzyjemne dla komunikacyj Eisenhowera. Nie ma jeszcze pełnego bilansu liczbowego katastrofy niemieckiej we Francji. Liczby strat w ludziach szybko zbliżają się jednak do miliona.

Pościg należy uważać za zakończony, poza tym wymiataniem tyłów. Najbliższe dni wyprowadzą siły Sprzymierzonych w Lotaryngii, Luksemburgu i Belgii na bezpośrednie przedpole linii Zygfryda.

Do ataku na nią potrzebują Sprzymierzeni ciężkiego sprzętu, amunicji, materiałów pędnych. Teraz dywizje pancerne Pattona dostają benzynę transportem powietrznym. Od organizacji dowozów i zaopatrzenia zależy termin ogólnego uderzenia na niemiecki "Wał Zachodni", o ile Niemcy będą mieli siły do jego obrony. Tymczasem lotnictwo Sprzymierzonych druzgocze cały niemiecki system obrony.

We Włoszech po przełamaniu przez 8-mą armię lewego skrzydła niemieckiej "linii Gotów" w korytarzu nadadriatyckim, Niemcy stawili nowy zacięty opór na południe od Rimini, kontratakując ściągniętymi tam dywizjami spadochronowymi i pancernymi. Nasz korpus II-gi znowu jest w ciężkich walkach. Jest to ostatnia próba zatrzaśnięcia drzwi, wychodzących na niziny nadpadańskie, Lombardię i Friul w stronę Austrii.

Na froncie wschodnim nabrały natężenia walki o linię Narwi, stanowiącą pierwszą, zewnętrzną linię obrony Prus Wschodnich od południa. W przedpolu Warszawy nie było większych działań. To samo tyczy się reszty frontu w Polsce.

Rozwija się natomiast ofensywa sowiecka poprzez Rumunię w głąb Siedmiogrodu ku nizinie węgierskiej i w górę Dunaju w kierunku Belgradu. Przez Bułgarię wojska sowieckie posuwają się ku Serbii na Nisz, a także podobno ku Morzu Egejskiemu. Powstańcy jugosłowiańscy wiszą już na komunikacjach wojsk niemieckich pozostałych jeszcze na półwyspie bałkańskim, przecinając zaopatrzenie, uniemożliwiając ewakuację. Bombardowania sojusznicze dokonują reszty.

Zdaje siettże z tych wojsk ocenianych na 17 do 23 dywizyj, niewiele zdoła się wycofać. Los ich zdaje się przesądzony.

Na Słowaczyźnie powstanie, przy wsparciu sowieckich wojsk spadochronowych. Dlaczego nie uważa go się za przedwczesne, gdy zarzuca się przedwczesność wystąpieniu Warszawy, pozostanie zagadką. Jest ono niewątpliwie niebezpieczne dla komunikacyj wojsk niemieckich i węgierskich w Siedmiogrodzie.

WYDARZENIA BAŁKAŃSKIE

Tydzień ubiegły przyniósł szereg niezwykłych wydarzeń na Bałkanach. Rumunia wojuje już wspólnie z Sowietami w Siedmiogrodzie, ale rokowania o zawieszenie broni między tym "współwalczącym" a mocarstwami sprzymierzonymi jakoś nie postępują naprzód. Bułgaria, której nowy demokratyczny rząd rokował o zawieszenie broni z W. Brytanią i Ameryką, polegając na dotychczasowej neutralności w stosunku do Rosji, nagle tuż przed podpisaniem umowy, zaskoczona została rosyjskim wypowiedzeniem wojny. Po kilku godzinach poprosiła o zawieszenie broni, zgodziła się na przemarsz wojsk sowieckich, które zdążyły jednak wziąć trochę Bułgarów do niewoli, wypowiedziała wojnę Niemcom i zmieniła rząd; demokratyczni ludowcy ustąpili miejsca generałom i pułkownikom z "Ligi Wojskowej", widocznie bardziej odpowiadającym w nowej sytuacji jako partnerzy. Wojska bułgarskie już biją się z wczorajszymi sprzymierzeńcami niemieckimi, ale dyskusje nad warunkami zawieszenia broni dla Bułgarii nadal się jeszcze toczą pomiędzy trzema mocarstwami. Zapewne nie idą zbyt łatwo.

Nie zdaje się również, by język bardzo dosadny, którym prasa sowiecka odzywa się o Turcji, był dobrą wróżbą dla przyjaznych stosunków z tym państwem, które jest przecież nadal w przymierzu z W. Brytanią.

Zakotłowało się więc w kotle bałkańskim i podejrzewać można, że są na porządku dziennym pewne sprawy dobrze znane oddawna. Zatem dostęp Bułgarii — a przez nią Rosji — do morza Egejskiego, zatem sprawa greckich dziś portów Dedeagaczu i Kawalli. Dalej sprawa Cieśnin i strażnika ich — Stambułu.

Gdy kiedyś Napoleonowi proponowano ze strony cara Aleksandra I. rozmowy w sprawie oddania Konstantynopola Rosji, wykrzyknął: "Konstantynopol? Ależ to władztwo nad światem!" Zapewne, świat dziś jest większy. Sprawa Dardanelli niema tego co dawniej znaczenia. Ale dziś, jak było przez dwa stulecia, "kwestia wschodnia" stanowi nadal węzeł gordyjski, który nieraz już rozcinano mieczem — bez skutku.

Tym razem niema zapewne mowy o konflikcie zbrojnym. Ale piętrzą się niewątpliwie trudności na drodze do pokoju, drodze już krótkiej. Załamanie się Trzeciej Rzeszy może bowiem zaskoczyć świat, mniej jeszcze dziś przygotowany do pokoju, aniżeli przygotowany był do wojny przed pięciu ciężkimi i krwawymi laty.

"CIEŃ OD POLSKI"

Premier Churchill z prezydentem Rooseveltem radzą w Quebec w Kanadzie o sprawach wojny i pokoju. "*Times*" z urzędowym optymizmem pisze o pomyślnym wszędzie stanie spraw europejskich z jednym wyjątkiem "cienia, który pada od Polski".

Nigdy nie stali ci wielcy przywódcy wobec poważniejszych zagadnień politycznych, jak te, które dziś domagają się rozwiązania.

Zamknięte 12 września.

TRIARIUS

Z tygodnia na tydzień

3 września: Wojska polskie i kanadyjskie zajęły Abbeville i posunęły się na północ aż do Hesdin.

4 września: Sprzymierzeni oswobodzili Brukselę i Antwerpię oraz dotarli do Bredy w Holandii. Polska dywizja pancerna zajęła St. Omer.

—Polacy zdobyli m. Cattolica na płd. od Rimini.

—W śródmieściu Warszawy działalność patroli A.K. Niemcy umacniają się na Mokotowie. Elektrownia została zbombardowana.

—Ofensywa sowiecka koło Łomży.

—Niemcy oświadczyli, że "patrioci polscy", którzy poddają się w Warszawie, będą traktowani jako jeńcy wojenni.

5 września: Sprzymierzeni zajęli Louvain i Malines w Belgii.

—Natarcia niemieckie w śródmieściu Warszawy zostały odparte.

—Wojska sowieckie zajęły Wyszków koło Warszawy.

—Z.S.R.R. wypowiedział wojnę Bułgarii.

6 września: Ciężkie walki z Niemcami między Starym Miastem a Al. Sikorskiego.

—Wojska sowieckie zajęły Ostrołękę i Wołomin.

—Dywizja Pancerna zajęła Cassel, na wsch. od St. Omer oraz Ypres.

—Gubernator Paryża gen. Koenig stwierdził, że polski ruch oporu, pod rozkazami Rządu R.P., brał udział w walkach o Francję przeciwko Niemcom. Przywódcą ruchu jest płk. Nestor.

—Bułgaria wypowiedziała wojnę Niemcom.

7 września: Sprzymierzeni zajęli Sedan i przekroczyli Kanał Alberta.

—Armia Krajowa poniosła silne straty terenowe na Powiślu. A.K. opanowała Marymont. Warszawa jest bez wody.

—Ogłoszono, że wojska sowieckie wkroczyły do Jugosławii.

—Koniec "Bitwy o Londyn". Ogłoszono raport dotyczący walki z "latającymi bombami". Na 1900 latających bomb, zestrzelonych przez lotnictwo myśliwskie, piloci polscy zestrzelili 223, co stanowi bez mała 12 procent ogółu strąconych przez lotnictwo alianckie "bomb latających".

8 września: Oddziały dywizji pancernej przedarły się przez niemieckie straże tylne w rej. Roulers i Thielt koło rz. Schelde w Belgii. Sprzymierzeni zajęli Ostendę i Liège oraz Besançon.

—Ogłoszono, że wojska sowieckie wkroczyły do Bułgarii.

—W Warszawie silny nacisk nieprzyjaciela na śródmieście. Oddziały polskie mają inicjatywę na Żoliborzu.

9 września: Wojska polskie przekroczyły kanał Ostenda-Gandawa, koło Nieuwendan.

—Walki w rej. śródmieścia Warszawy o natężeniu, sięgającym kresu wytrzymałości ludzkiej.

—Rząd brytyjski przestrzegł Niemców, że zbrodnie dokonywane na ludności Warszawy zostaną ukarane.

—Wojska sowieckie zaprzestały walk w Bułgarii.

10 września: Artyleria amerykańska ostrzeliwała z ziemi belgijskiej Niemcy w rejonie m Bildchen.

—Churchill przybył do Kanady.

—Niemcy ogłosili, że wojska sowieckie nacierają między Sanem a Wisłoką.

—Sprzymierzeni weszli do księstwa Luxemburg.

—Armia Krajowa utraciła część terenu w rejonie ul. Wareckiej. Ogłoszono, że straty załogi polskiej na Starym Mieście w ciągu miesiąca walki wyniosły 80 procent stanu początkowego.

Wojna na morzu

NIEFORTUNNE PROROCTWO

Dnia 19 sierpnia 1942 r., kiedy próbne lądowanie w Dieppe nie powiodło się Aliantom, Hitler oświadczył: "Macie dowód, czym skończy się każdy desant angielski na kontynencie. Dłużej, niż te 9 godzin co w Dieppe, żaden desant nie potrwa . . ."

Minęły dwa lata i jakże okoliczności się zmieniły. Nie udało się Niemcom wrzucić Aliantów do morza ani w Afryce, ani we Włoszech, ani we Francji. Generałowie niemieccy, hołdujący zasadzie, że "działo na lądzie warte jest okrętu na morzu", przekonali się, iż jest wręcz przeciwnie. Działa różnych wałów atlantyckich i śródziemnomorskich okazały się bezsilne wobec artylerii okrętowej, kierowanej i wspomaganej przez lotnictwo.

Admirał Lützow pociesza swoich ziomków, że w sierpniu okręty nawodne, podwodne i samoloty niemieckie zatopiły 45 statków sprzymierzonych o pojemności 226,500 ton.* I dodaje, że wprawdzie niemieckie okręty podwodne musiały ustąpić wobec nowych środków przeciwpodwodnych i przewagi nieprzyjaciela, lecz niebawem powrócą, zbrojne w nowe i niezwalczone walory taktyczne. My . . . bez proroctw . . . możemy wyrazić zdanie, że według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie to słynna "musztarda po obiedzie".

Wyścig między strategią Sprzymierzonych a niemiecką techniką wojenną zaczyna się przechylać wyraźnie na stronę strategii anglo-saskiej. Być może, że Niemcy zdołają uruchomić jeszcze szereg "nowych broni". Ale po pierwsze, w obecnej fazie bronie te będą już mniej groźne, niż byłyby pół roku temu. Po drugie — ich produkcja została w części zahamowana. Po trzecie — jeśli okoliczności zmuszą Niemców do przedwczesnego i częściowego ich użycia, to oczywiście efekt będzie mniejszy.

Tym niemniej nie należy lekceważyć niebezpieczeństwa, a tym bardziej upajać się nadzieją, że wojna skończy się . . . jutro. "Kaczka" o zawieszeniu broni, puszczona z Brukseli, była prawdopodobnie jeszcze jednym wybiegiem dywersji niemieckiej, mającej za zadanie wywołanie chaosu i fałszywego poczucia bezpieczeństwa, a co za tym idzie — osłabienia czujności i woli walki u Sprzymierzonych. Mamy nadzieję, że to się nie uda.

* Cyfry niemieckie są jak zwykle 3 — 5 razy przesadzone.

NIEŚMIERTELNY "TIRPITZ"

Brytyjskie lotnictwo morskie dokonało jeszcze jednego nalotu na Alten i Kaa-fiord, gdzie ukryty jest "Tirpitz". Trafiono bombami ten pancernik, kilka okrętów strażniczych i przeciwlotniczych, dwa kontrtorpedowce, ropowiec i kilka transportowców. Pewność istnieje jednak tylko co do zatopienia okrętu przeciwlotniczego.

Jest to szósty z rzędu /morski i powietrzny/ atak na "Tirpitza", a pancernik jakoś zatonąć nie chce. Najlepszy dowód żywotności tego typu okrętów.

H.M.S. "RORQUAL"

Dopiero teraz wychodzą na jaw szczegóły zaopatrywania Malty i Leros przez brytyjskie okręty podwodne. Wyróżnił się w tym H.M.S. "Rorqual," podwodny stawiacz min, który służył jako cysterna, jako transportowiec pasażerski /dla 30 "arcyważnych" pasażerów/ lub towarowy /raz wzięto baterię plotn., drugi raz samochód terenowy/. Poza tym oczywiście "Rorqual" prowadził normalne operacje minowe i torpedowe.

"Rorqual" jest okrętem podwodnym budowy z 1934 roku. Wypiera 1520-2157 ton. W grudniu roku ubiegłego "Rorqual" i "Błyskawica" współpracowały w operacji ratunkowej na Kanale Brytyjskim.

SENSACYJNY ARTYKUŁ

W piśmie sowieckim "Wojna i Klasy Pracujące" kontr-admirał Frołow zamieścił swe uwagi na temat desantu w Anzio, gdzie przebywał na zaproszenie admirała Cunninghama. Adm. Frołow pisze, że operacje miały tempo powolne, że wojska po wylądowaniu nie wykorzystały elementu zaskoczenia, że dowódcy poszczególnych lądowych jednostek alianckich nie wykazywali inicjatywy i zdecydowania, nie mieli dość ducha ofensywnego. Samo lądowanie też odbywało się za wolno.

PANCERNIKI TRZEBA BYŁO BUDOWAĆ

Na łamach prasy szwedzkiej ukazał się artykuł komandora Oberga, w którym autor stwierdza, że Niemcy przegrają wojnę z braku okrętów liniowych /pancerników/. Autor podkreśla, że Hitler poniechał budowy dalszych pancerników typu "Bismarck", oraz lotniskowców przerzucając się na okręty podwodne i ścigacze. Tymczasem te ostatnie nie mogły mu zapewnić panowania na morzu, a nawet utwierdzić panowania na wewnętrznych wodach norweskich i śródziemnomorskich. Opanowawszy niebezpieczeństwo podwodne dzięki swym flotom nawodnym i lotnictwu zaokrętowanemu, Sprzymierzeni stali się panami sytuacji.

Kmdr. Oberg pisze, że gdyby Niemcy wykończyli swój program budowy okrętów liniowych /6 pancerników/, to łącznie z Włochami /8/ mieliby ich 14, z czego 10 najbardziej nowoczesnych. W tymże okresie czasu /przed przystąpieniem Ameryki do wojny/ Wielka Brytania posiadała 13 starych, 2 typu "Nelson" oraz 2 /najwyżej 3/ pierwsze okręty klasy "King George" /2 dalsze były gotowe dopiero w roku 1943/. Dało by to stosunek 14:18 pozornie na korzyść W. Brytanii, z tym jednak, że okręty "osi" byłyby i silniejsze taktycznie i bardziej nowoczesne. Przy takim stanie rzeczy Hitler mógłby się pokusić o panowanie na morzach, tym bardziej, że do końca r. 1940 Anglicy stracili 2 pancerniki, Niemcy zaś żadnego. Strata "Bismarcka" była wyrównana stratą "Hooda", a nalot na Tarent w gruncie rzeczy nie zatopił definitywnie ani jednego z pancerników włoskich.

Posiadając taką przewagę sił Niemcy mogliby nie tylko unicestwić wszelkie próby przerzucania wojsk, sprzętu, zaopatrzenia i surowców strategicznych przez morza, ale też sprowokować flotę brytyjską do bitwy, której wynik byłby dla Anglików niepomyślny, a w każdym razie wątpliwy. Wówczas Anglia stanęłaby otworem dla inwazji.

W istocie ani niemieckie lotnictwo, które miało "zastąpić" marynarkę, ani okręty podwodne i ścigacze /mimo osiąganych powodzeń — nieraz dość wydatnych/ nie zdołały zablokować Anglii czy też uniemożliwić jej komunikacji morskich na szerokich wodach świata. Nie potrafiły też przygotować inwazji i wykorzystać roku 1940, kiedy Anglia, prócz swej silnej marynarki i słabego lotnictwa, nie rozporządzała właściwie żadną siłą zbrojną. Obecnie zaś inwazja odbywa się w kierunku przeciwnym . . . i znów niemieckie okręty podwodne i lekkie nie zdołały jej przeszkodzić.

ADMIRAŁ SAALWACHTER SIĘ MARTWI

Ubolewając nad zdradą Rumunii i Bułgarii, admirał Saalwachter przyznał przez radio niemieckie, że niemieckie okręty na Morzu Czarnym musiały zostać zniszczone przez własne załogi. Okrętów tych nie było dużo — prawdopodobnie chodziło o okręty podwodne, ścigacze i monitory.

Saalwachter przyznał też, że "zmiana położenia" w Finlandii nałożyła na bałtycką flotę Rzeszy nowe, ciężkie obowiązki. Flota sowiecka usiłuje wyjść z Zatoki Fińskiej, gdzię dotychczas zatrzymywały ją zagrody i siły niemieckie.

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

Polska Marynarka Wojenna otoczyła Europę podkową swych nielicznych, ale jakże ruchliwych okrętów. Od Lewantu po Morze Północne i Norwegię okręty polskie pływają i walczą. Udział ich w inwazji Francji przedstawia się imponująco, jakkolwiek nie obeszło się bez strat z naszej strony. Gdy będzie można opublikować historię choćby jednej nocy u brzegów Normandii, Czytelnicy przekonają się jak taka "wojna na morzu" wygląda i jak ciężkim i niebezpiecznym było zadanie naszych okrętów.

Jeśli admirał Ramsay stwierdził, że do końca lipca zatopiono około 300 jednostek nieprzyjaciela, to w liczbie tej 14 przypada w udziale Polakom — bądź bezpośrednio, bądź łącznie z okrętami brytyjskimi swego zespołu. Daje to prawie 5% a przecież okręty polskie stanowiły niespełna 1% wielkiej armady sprzymierzonych.

JULIAN GINSBERT

Francuski sierpień polskich myśliwców

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Normandia, 2-go września

NA ZIEMI FRANCUSKIEJ

Z ziemią francuską zapoznał się pilot polski jeszcze przed kilku laty. W ciągu wielu miesięcy, które nastąpiły po tragicznym wrześniu, szedł ku niej rozlicznymi drogami, wierząc, że z niej znów podejmie — tym razem zwycięską — walkę. Nadzieje te zawiodły — rok 1940 znów przyniósł rozczarowanie.

Polski pilot nie rezygnował jednak, opuszczał Francję — ale nie na długo. Nawet wówczas, gdy nieliczne jeszcze eskadry brytyjskie staczały z "Luftwaffe" dramatyczną walkę o W. Brytanię, samoloty polskie wybiegały już śmiało nad ziemię francuską, ochraniając dziesiątki wypraw bombowych i przyjmując z wyzywającą odwagą walkę z przeważającą liczebnie hordą niemieckich myśliwców. Kiedy zaś w 1942 i 1943 r. Sojusznicy zaczęli z kolei przejmować inicjatywę, odwiedziny naszych pilotów stawały się co raz częstsze, co raz bardziej dla Niemców dokuczliwe.

Wreszcie zawiedzione niegdyś nadzieje sprawdziły się, zaczęto wydzierać zwycięstwo z rąk napastnika. Po dwu latach uporczywych bojów nad Francją, pilot polski lata już dziś nie tylko nad Francją, ale i z Francji. Tak jak chciały tego jego nadzieje w roku 1939. Wówczas zawiodły. Dziś już nie zawiodą.

KILKA LICZB

Pierwszego sierpnia personel naziemny trzech polskich dywizjonów, wchodzących w skład polskiego skrzydła, włączonego do 2-ego Lotnictwa Taktycznego, pożegnał się na długo z gościnną Anglią. Trzeciego zaś sierpnia oddzielony już od Anglii szeroką wstęgą kanału La Manche, a od frontu wąskim pasem niewielu mil, obsługiwał znów z powodzeniem swe samoloty.

Od tej chwili upłynęło niewiele dni. Jednakże dnia pod frontem nie można porównać ze zwykłym dniem. Więcej w nim wydarzeń, więcej działania, więcej triumfów i niepowodzeń. I dlatego statystyczny wykaz osiągnięć trzech polskich dyonów w ciągu nie zawsze pogodnego francuskiego sierpnia, wygląda imponująco.

Bombardowano i ostrzeliwano cele najróżnorodniejsze. Były pomiędzy nimi i barki na Sekwanie i "żywe torpedy" na Kanale. Chytrze zamaskowane umocnienia terenowe i kolumny wojska śpieszące na front. Nawet każdy pojedynczy czołg czy motocykl, każda grupka żołnierzy musiała stale wystrzegać się niespodzianych pocisków polskiego myśliwca. Albowiem Polacy — jak na to wskazuje tabela — umieli być celni:

Wyniki Działań Bojowych we Francji /na dzień 1.9.44/

	Dyon Poznański	*Dyon Krakowski*	*Dyon Wileński*
Samoloty, zniszczone/uszkodzone ...	—/—	2/—	—/5
Samochody zniszcz./uszkodzone	115/62	143/87	103/72
Czołgi zniszcz./uszkodzone	—/3	11/12	5/3
Działa zniszcz./uszkodzone	—/1	1/—	2/—
Barki zniszczone	3	9	6
Żywe torpedy zniszczone	kilka	—	1

WALKA Z NUDĄ

W ciągu sierpnia polskie myśliwce we Francji wykonały 244 operacje. Brało w nich udział ponad 2000 samolotów. Zrzucono podczas nich 203.000 funtów bomb.

A jednak jeśli zagadnąć któregokolwiek z pilotów o wrażenia z działań, zechce cię zbyć uskarżaniem się na nudę i pustkę w powietrzu. Z pewnością. Według jego zdania — nie ma z kim walczyć, kogo bombardować i jeśli się nie chce umrzeć w powietrzu z nudów, musi się na własną rękę szukać urozmaicenia. Jak n.p. chor. M. z Dyonu Wileńskiego.

Wracając do bazy po wykonaniu zadania bojowego, niespodzianie dostał się pod ogień artyleryjski. Uciekając z niego zaobserwował pozycję dość pokaźnej baterii niemieckiej dalekonośnej artylerii. Po przebyciu dwu kilometrów zorientował się z gęsto padających pocisków własnej artylerii, że bateria ta była przedmiotem ostrzału, ale że artyleria brytyjska wstrzeliwała się w nią błędnie. Rad ze znalezienia niespodzianego choć niebezpiecznego zajęcia, chor. M. powrócił nad pozycję artylerii niemieckiej i precyzyjnie określił jej położenie na swej mapie. W kilka minut później był już na własnym lotnisku. Meldunek pilota został najkrótszą drogą wysłany do odnośnego dowództwa. Droga ta musiała być naprawdę bardzo krótka. Jak bowiem stwierdzili to piloci podczas następnej operacji, z ziejącej ogniem baterii pozostały gruzy.

Jednak najbardziej emocjonującym zajęciem — choćby dlatego że nowym — stało się dla naszych pilotów Dyonu Poznańskiego polowanie na "żywe torpedy", stosowane przez Niemców na Kanale. Choć walka z nimi jest w pewnym sensie łatwa, albowiem są one bezbronne, wymaga ona jednak nielada kunsztu, by walkę z torpedą zakończyć jej zniszczeniem. Atutami torpedy są nie tylko jej mikroskopijne — dla samolotu — wymiary, ale i trudność jej wykrycia, jeśli w obliczu niebezpieczeństwa zatrzyma się i w ten sposób nie będzie pozostawiać za sobą żadnych śladów na powierzchni morza. Polscy piloci nauczyli się jednak szybko nie tylko wypatrywać je, ale i unieszkodliwiać. Minęły dwa tygodnie, nim sierż. Fr. zanotował pierwsze zwycięstwo nad torpedą. Ale już w ciągu kilku następnych dni ilość zniszczonych "żywych torped" wzrosła.

CI, KTÓRZY NIE WRACAJĄ

Podczas lotów w strefie przyfrontowej pilot — jeśli chce dobrze wywiązać się ze swego zadania — nie może troszczyć się zbytnio o własne bezpieczeństwo. Niewielkie i przy tym często ruchome cele może on skutecznie i celnie atakować tylko z lotu koszącego. Zaś przelatywanie tuż nad dachami niskich domków lub nad wierzchołkawi drzew, z jednej strony demoralizuje przeciwnika, z drugiej jednak strony wystawia myśliwca na szereg niebezpieczeństw. Myśliwiec polski nie cofa się jednak przed niebezpieczeństwem, jeśli od niego uzależnione jest powodzenie wyprawy.

Bombardując szczególnie groźną dla naszych pozycji baterię niemiecką, sierż. M. z Dyonu Wileńskiego wielokrotnie zawracał nad nią, by zmusić ją wreszcie do milczenia. W pewnej jednak chwili trafiony został pociskiem zapalającym i silnik samolotu stanął w płomieniach. M. zameldował o tym dowódcy. — "Poszukać lądowiska" brzmiała decyzja dowódcy. Jednakże pilot ani myślał lądować przymusowo na terenie niemieckim przed wykonaniem zadania. Z palącą się maszyną zawrócił raz jeszcze nad pozycje niemieckie i z niskiego pułapu zrzucił pozostały ładunek bomb. Przy wykonywaniu tej operacji został ponownie trafiony. Jednak działo niemieckie umilkło. Dopiero wówczas — jak zaobserwowali to inni piloci — sierż. M. począł szukać dogodnego miejsca dla lądowania. Czy udało mu się wylądować szczęśliwie, nie wiadomo jeszcze. Wiadomo jednak na pewno, że zadanie wypełnił.

Udało się zaś niewątpliwie lądowanie F/Sgt. M. Strącony ogniem artyleryjskim w dniu 21 sierpnia wylądował szczęśliwie w miejscowości, którą właśnie przed kilku godzinami zajęły wojska Sprzymierzone. Dzięki temu, choć spóźnił się znacznie na *lunch*, biesiadował już z kolegami podczas *tea*.

CZTERY CONTRA PIĘĆ RÓWNA SIĘ 5 : 0

Niezmiernie trudno jest obecnie zapłacić za strącenie polskiego samolotu strąceniem maszyny niemieckiej. Niemcy bowiem niemal że nie pokazują się w powietrzu. Jeśli ośmielają się przejść linię frontu — to przeważnie w niewielkiej ilości i pod osłoną nocy. Wtedy zaś, gdy są śmielsi i próbują nawiązać walkę w dzień — zuchwałość okazuje się dla nich zgoła nieopłacalna.

Po wykonaniu zadania i wyczerpaniu około trzech czwartych amunicji, klucz Dyonu Wileńskiego powracał właśnie do bazy, gdy nagle jeden z pilotów spostrzegł, że z wysokiego pułapu pikuje na nich pięć "Messerschmittów". Polacy znaleźli się w niewątpliwym niebezpieczeństwie. Zarówno dogodnością pozycji, jak i szybkością Niemcy przewyższali ich. O umknięciu im więc sprzed nosa nie mogło być mowy. Dowódca czwórki zdobył się tedy błyskawicznie na decyzję podjęcia walki.

Miast uciekać, maszyny polskie zaczęły wspinać się w górę, kierując się wprost na Niemców. "Messerschmitty", które spodziewały się ucieczki Polaków i łatwej pogoni za nimi, zostały zaskoczone taktyką obraną przez nasze myśliwce. Ogień przedwcześnie otwarty przez Niemców był bardzo niecelny. Kiedy zaś Polacy zbliżyli się na odległość skutecznego ognia piloci niemieccy nie wytrzymali nerwowo i znurkowali. W ten sposób po kilku chwilach sytuacja przedstawiała się wręcz odwrotnie, niż przed nawiązaniem walki. "Spitfiry" osiągnęły wyższy pułap, niż Niemcy. Ci zaś, zniechęceni tym, że nie potrafili wykorzystać dogodnej dla siebie sytuacji, nie myśleli już zgoła o dalszym prowadzeniu starcia w warunkach dla siebie niedogodnych — lecz o ucieczce. Polacy pogonili za nimi. Jak wykazały później zdjęcia, wszystkie samoloty nieprzyjacielskie zostały uszkodzone. Jeden z nich zaczął palić się w powietrzu, inne zaś ocaliło od tego losu przykre dla pilotów polskich stwierdzenie, że amunicja skończyła się.

POWIETRZE NALEŻY DO NAS

Podczas sierpnia doszło do jednego jeszcze spotkania z samolotami niemieckimi. I spotkanie to ponownie dowiodło przewagi naszych pilotów.

Natknąwszy się na liczniejszego od siebie nieprzyjaciela, piloci Dyonu Krakowskiego zmusili go do szybkiej ucieczki, przy czym chor. K. zanotował na swym koncie dwa zniszczone samoloty n-pla.

Odtąd — a upłynęły już dwa tygodnie od tej walki — Niemcy nie pokazali się.

Powietrze należy niepodzielnie do nas — Niemcy nie usiłują nawet toczyć o nie walki. I tylko nader rzadko udaje im się strącić niespodzianym ogniem artylerii maszynę, która zapędziła się zbyt nisko.

Płacimy niską cenę za bliskie już dziś zwycięstwo.

FELIKS SZCZERSKI

Dwie wizyty u naszych lotników

POLOWANIE NA "CZORTOPCHAJKI'

Dzień był pogodny, powietrze czyste, dużo słońca. Po jasnym niebie błąkało się zaledwie kilka chmurek, jak gdyby zawstydzonych swą obecnością. Sposobność bardzo rzadka, tym przyjemniejsza, że tego właśnie dnia wybierałem się na polowanie, jedyne w swoim rodzaju. Polowanie prawdziwie humanitarne. Nie zabija się na nim, a wielu ludzi ratuje się od śmierci. Dziwne rzeczy dzieją się na tej morderczej wojnie. Nigdy nie przypuszczałem, że sport myśliwski będzie przez nią tak uszlachetniony.

Rozmawiam o tym z towarzyszącym mi młodziutkim porucznikiem pilotem, Janem K., który ma już na swym rachunku pięć "Messerschmittów" czy też "Focke Wulfów", między innymi jednego asa "Luftwaffe". Jest trochę niewyspany i zupełnie nieusposobiony do oderwanych rozważań.

Ale wróćmy do tego oryginalnego polowania, by nie intrygować za długo czytelnika. Tępiono na nim grubą zwierzynę niemiecką, automatycznych drapieżników, "latające bomby". Myśliwymi były myśliwce, zwinne "Mustangi" dwóch polskich dywizjonów i jednego angielskiego. Wynik doskonały. Czternaście "bomb latających" ubito owego dnia. Polskie dowództwo skrzydła miało się czym pochwalić — było to bowiem jeszcze w okresie, kiedy ich tak masowo nie niszczono. Później słyszadem, że jeden dywizjon polski zestrzelił kilka tuzinów.

Już jadąc z Londynu na lotnisko spotykaliśmy po drodze pewną ilość tych bomb. Na miejscu było ich znacznie więcej. Przylatywały z regularnością autobusów, czasami po dwie od razu, równolegle, by stać się łupem patroli myśliwskich, znacznie rzadziej artylerii przeciwlotniczej. Ten nowy, a tak pożyteczny sport jest bardzo podniecający dla widzów. Ilekroć spada taka bomba gdzieś na puste przestrzenie odczuwa się ulgę na myśl, że bliskim i przyjaciołom w Londynie przybyło trochę bezpieczeństwa. Ale gdy bestia, niestety bardzo chyża, przemknie się, obecnych ogarnia niepokój, łagodzony tylko nadzieją, że strąci ją jakiś inny patrol, szybsze od "Mustangów" "Tempesty", lub że połamie swe gnaty o zaporę balonową.

Dla bojowych pilotów walka z tymi "czortopchajkami" — jak je nazwano na lotnisku — nie jest ani łatwa, ani pociągająca. Mimo całej ważności tego zadania, stokroć bardziej wolą oni bić się w powietrzu z żywym Niemcem, a nie z jego automatem. Słyszałem również inną nazwę latającej bomby, którą podobno wymyślili chłopcy nasi z *ground staff'u* /obsługa ziemna/. "Czortopchajka" podkreśla jej niesamowitość. Lecz gdy bomba taka pędzi samiuteńka, przechylona na bok, jak zasapany zając, którego ściga sfora psów myśliwskich, trafny wydaje się epitet, pełen ironii i kontrastu: "smutniak". Pewnie dlatego, że gdy wybucha, robi się wszystkim strasznie wesoło na duszy.

Mówili mi piloci, że na dłuższą metę takie polowanie zaczyna nużyć swą jednostajnością i że robota ta winna być powierzona specjalistom. Istotnie, należało by wyszkolić specjalne kadry tępicieli tej plagi, która może być jeszcze stokroć okropniejsza. Dzisiejsza "latająca bomba" to tylko pierwsza próba. Wiadomo, że Niemcy przygotowują już bomby rakietowe o 10 tonach. A któż zaręczy, że w przyszłości, jeśli świat nie zmądrzeje i każdemu narodowi wolno będzie robić u siebie w domu, co mu się żywnie podoba, nie zjawi się gdzieś jakiś nowy Hitler, jakaś nowa zwariowana kanalia z pretensją do panowania nad ludzkością, która każe wyprodukować bomby, latające przez oceany. Za naciśnięciem guzika można będzie zabijać tysiące ludzi, szerzyć potworne spustoszenia w dowolnym miejscu globu ziemskiego.

Dyskutujemy na ten temat w namiocie, gdzie przyjęto mnie gościnnie na noc. Kapitan X. wrócił z wyprawy i pogwizduje sobie wesołe melodie. Kapitan Y. o inteligentnej, zamyślonej twarzy zgadza się ze mną. Jakoś sen się nie klei, tym bardziej, że namiot zatrząsł się od huku. Wychodzimy na lotnisko.

—Teraz — mówi mi kapitan — zobaczy Pan najładniejsze widowisko.

Rzeczywiście, nocne polowanie na bomby jest może nie tak skuteczne, ale niezwykle efektowne. Rozpoczyna się taniec reflektorów. Złapały jedną bombę, potem drugą. Baterie przeciwlotnicze walą, jak diabły. Migają światełka, pędzą *tracery*, rozsypują się snopy czerwonych iskier, całe niebo wygląda jak fantastyczny różnokolorowy fajerwerk. Jedna bomba trafiona, pali się, po chwili spada gdzieś daleko z głuchym trzaskiem. Druga przemknęła się.

Jest tylko jeden radykalny środek na nie. Nie podobna w powietrzu zapobiec temu, by pewna ich ilość nie przedostała się do Londynu. Trzeba je tępić na ziemi, dotrzeć do ich legowisk. Może to już niedługo nastąpi.

Walka z bombami to tylko drobny epizod w karierze polskich dywizjonów myśliwskich, które niedawno odwiedziłem. Od pierwszej chwili brały one udział w wielkiej akcji powietrznej nad Francją, bez której inwazja nigdy by się nie udała. Nieraz osiągały "*top score*", współzawodnicząc z najlepszymi dywizjonami brytyjskimi, i dalej odznaczają się w najtrudniejszych, najniebezpieczniejszych zadaniach. Od czasu mej wizyty zdążyły odnieść wielki sukces nad Norwegią i rekordowe zwycięstwo nad Paryżem. Ale od bitwy nad Anglią lotnictwo polskie ma już tak ustaloną opinię na świecie, że każdy jego nowy wyczyn traktowany jest, jako coś, czemu nie można się dziwić. Dla Anglików Polak stał się określeniem śmiałego lotnika.

PRZED CZTEREMA LATY

Gdy myślę o tym, przypomina mi się inna moja wizyta, że tak powiem, u kolebki polskiego lotnictwa w Anglii, niedaleko miejsca, gdzie przypatrywałem się polowaniu na "latające bomby". Było to w styczniu r. 1940, a dziś wydaje się, że całe wieki minęły od tego czasu. Któż wówczas przypuszczał, że Francja się tak prędko załamie. Wierzono uparcie w linię Maginota. Na Niemcy zrzucano ulotki propagandowe bardzo ostrożnie, by, broń Boże, cała paczka nie spadła jakiemuś hitlerowcowi na głowę. O Polsce przestano pisać. Rzadko kiedy można było znaleźć w prasie angielskiej malutką wzmiankę o rządzie w Angers lub o okrucieństwach niemieckiego okupanta. Nic więcej. Polska, jako odradzająca się na emigracji siła zbrojna, wymagała zbyt bujnej wyobraźni, by zaprzątać uwagę szerokiej opini anglosaskiej, cóż dopiero jej lotnictwo. Komu z Anglików śniło się wówczas, że odegra ono tak wybitną rolę w obronie tej wyspy?

A jednak . . . Żywo stoi mi w pamięci opuszczone lotnisko, jeszcze z tamtej wojny i melancholijnie sterczący w hangarze jeden samolot ćwiczebny. Lotników było też niewielu. Różnymi drogami, przeważnie przez kraje skandynawskie, przywędrowali oni do tych brzegów. Kilku asów z głośnymi nazwiskami, poza tym garstka młodziutkich pilotów, którzy odznaczyli się w kampanii wrześniowej. Mało kto z nich ocalał. Nie żyje również ówczesny brytyjski minister lotnictwa, Sir Kingsley Wood, który przyjechał na inspekcję.

Była to najskromniejsza rewia, jaką kiedykolwiek widziałem, ale czuliśmy wszyscy, że jest pełna znaczenia. Tylko dwa szeregi zdążono ubrać w uniformy RAF'u ze srebrzącymi się orzełkami. Reszta była w różnym przyodziewku, przeważnie w kurtkach i cyklistówkach.

Prawie pięć lat ciężkiego trudu i ciężkich strat, a jak pięknie rozwinęło się z tak skromnych początków lotnictwo polskie na wygnaniu. Tych co odeszli, zastąpili inni, młodzi, doskonale wyszkoleni lotnicy i pierwszorzędny personel techniczny. U kresu wojny, gdy "Luftwaffe" została prawie wymieciona z nieba nad Europą, gdy potworny gmach zbrodni i krzywdy ludzkiej, wzniesiony przez Hitlera, wali się w gruzy, lotnictwo nasze dalej rozsławia imię Polski w całym cywilizowanym świecie.

Kiedyś, może niedługo, zestawiony będzie dokładny bilans jego osiągnięć, a nie ma najmniejszej wątpliwości, że wypadnie on jak najlepiej jakościowo nawet w porównaniu z rekordami potężnych mocarstw. I jeśli kiedyś na straży bezpieczeństwa ludzkości stanie prawdziwie międzynarodowa Liga powietrzna, Polska zdobyła już sobie tytuł do zajęcia w niej należnego miejsca. Ile razy stykam się bliżej z naszym lotnictwem, zawsze jestem pod wrażeniem może niepoprawnego optymisty, że uczciwa opinia wielkich demokracyj Zachodu jej tego nie odmówi. A nie będzie już wtedy "latających bomb".

FLORIAN SOKOŁÓW

A.K. — uznany współkombatant



Przysięga żołnierzy 77 Pułku Piechoty



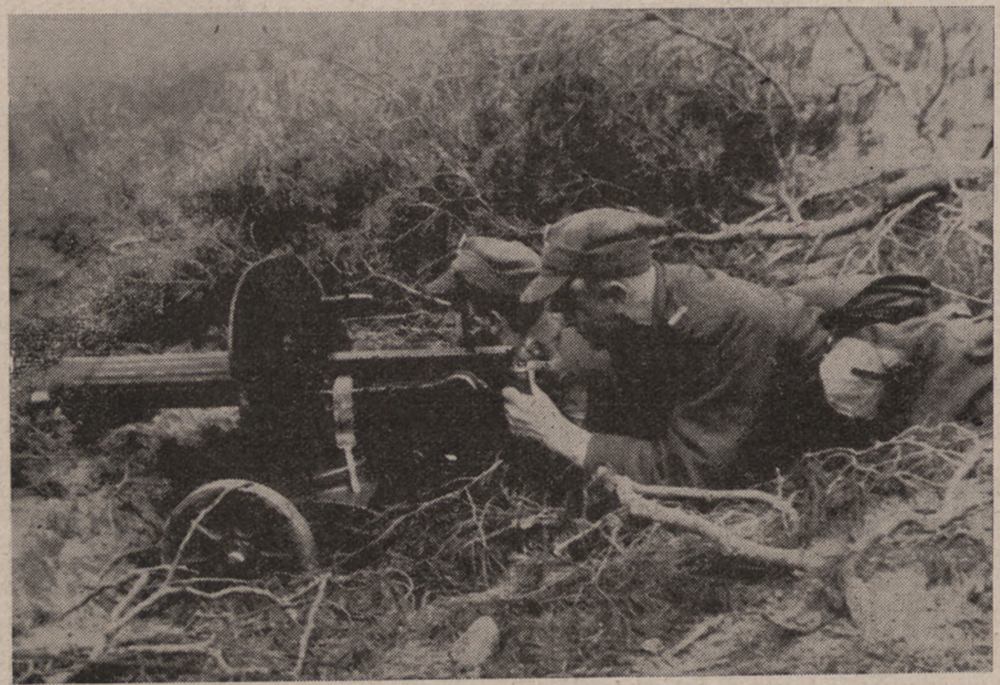
Spowiedź żołnierzy 9 Pułku Piechoty



Apel Poległych w dniu Święta Narodowego



Rekonesans w okolicach Nowogródka



Na stanowisku ogniowym 77 Pułku



Obsługa radiowa przy pracy



Zaopatrzenie dla Armii Krajowej



Posiłek w lesie — zdjęcie z maja 1944

Z walk Dywizji Pancernej we Francji

Dwa dni temu, zupełnie nieoczekiwanie spotkałem na jednym z dworców londyńskich dwu żołnierzy, których spotkania najmniej się spodziewałem. Właściwie byłbym ich przeoczył, gdyby jeden z nich nie zawołał mnie po nazwisku, raz i drugi. Odwracam się — i własnym oczon nie wierzę: to oni! Przecież wiedziałem o nich dokładnie, że są po tamtej stronie Kanału, że brali udział w krwawych bojach naszej Dywizji Pancernej w Normandii, że wraz z całą Dywizją znaczyli obficie krwią drogę do Polski, jaką im los wyznaczył w tych niewymownie ciężkich dla Polaków czasach. Ich własną, żołnierską drogę, krzyżami nowych mogił polskich znaczoną, a prowadzącą od Caen, poprzez Falaise, "Psie pole" pod Chambois, we krwi skąpane wzgórze 262, "Maczugą" nazwane — gdzie nasza Dywizja dokonała zamknięcia Niemców w słynnym "worku" i gdzie przez upiorne trzy dni i dwie noce wytrzymywała najwścieklejsze, nieustające ataki przeważających sił wroga, pragnącego wydostać się z pułapki bez względu na straty.

Pragnąłem z twarzy tych ludzi, przybyłych "z tamtej strony", wyczytać ich przeżycia. Stwierdziłem tylko jakąś nieuchwytną zmianę, coś — jak gdyby odarcie z tego blasku, jaki zwykle promieniuje od ludzi bardzo przyjaźnie do kogoś nastawionych. Jakieś stwardnienie. Może dlatego, że niedawno tak dużo przeżyli, doznali i widzieli . . .

Początkowo na moje pytania odpowiadali jakoś powściągliwie. O własnych przeżyciach nie mówili nic, mówili natomiast dużo o nowoczesnym polu walki, które przechodzi wszelkie wyobrażenie, o zniszczeniu, jakiego nie było pod El Alamein, o ciężkich i odpowiedzialnych zadaniach piechoty w nowoczesnej walce i wojnie — o odrodzeniu piechoty.

Obaj są żołnierzami piechoty. Mówili o tym, co widzieli wokół siebie. Ponieważ nie wiele czasu pozostawało do odejścia ich pociągu, więc zacząłem notować niektóre szczegóły. Postaram się oddać je tu najwierniej, w takim skrócie telegraficznym, w jakim je na stojąco zanotowałem. Stanowią one urywane obrazki walk, od Caen poczynając, nie powiązane z sobą ani w czasie ani w terenie.

BRAWUROWE NATARCIE KOMPANII CZOŁOWEJ

Pytałem o znajomych.

—O tak, por. Antoni Pop . . . spisał się świetnie. Dostał Krzyż "Virtuti Militari". Było to pod Pontigny, gdy nasza Brygada Piechoty szła na Falaise, gdzie zamknęliśmy ten "worek". Porucznik prowadził kompanię czołową . . . Batalionu P-h., który szedł do natarcia. Wtem, z lasu, poprzednio już bardzo ciężko zbombardowanego przez lotnictwo alianckie i ostrzelanego przezześrodkowany ogień artylerii, z tego lasu, z którego zdawało się nie pozostało nic prócz kikutów potrzaskanych drzew — dostaje silny ogień wszelakiej broni maszynowej i moździerzy. Dowódca kompanii czołowej momentalnie rozwija kompanię do natarcia i naciera, jednak zostaje odrzucony na pobliski tor kolejowy. Tam organizuje się jeszcze raz i pod osłoną ognia własnej broni maszynowej naciera powtórnie, spycha nieprzyjaciela z lasu, bierze obfity łup w postaci różnych karabinów maszynowych i moździerzy sprzężonych i otwiera drogę swemu baonowi.

Znałem por. P . . . , był kiedyś moim dowódcą. Popularnie nazywano go /albo raczej on sam się nazywał/ "Tony". Miał zawsze opinię dobrego oficera bojowego. Nie zawiódł.

STRZAŁ DO "PANTERY" Z 40 MTR.

—Na "Maczudze", rzeczywiście we krwi skąpanej, działy się niesamowite rzeczy — zanotowałem dalej. — Żołnierze nasi wykazywali tyle zaciętości, bohaterstwa, opanowania nerwów, że nie uwierzyłbym, gdybym sam tego nie widział. Chwilami walka szła na bagnety, na pięści, na zęby. Wypadek, który chcę panu opowiedzieć na dowód niebywałego, a tak niesłychanie ważnego w bitwie opanowania nerwów przez naszego żołnierza, miał miejsce na "Maczudze" dnia 21 sierpnia popołudniu, w drugi dzień i po dwu nocach nieprzerwanych walk na tym wzgórzu. Trzeba dodać, że w owym momencie na tyłach własnych, na drugim zboczu wzgórza, mieliśmy już przeszło 850-ciu jeńców, dozorowanych właściwie prawie wyłącznie przez ich własnych, niemieckich oficerów.

—Szła na nas nowa lawina czołgów i samochodów pancernych, z "Panterą" na czele, a ziali ogniem ze wszystkich luf. W naszym ugrupowaniu była porozmieszczana broń p-panc. Pewien kapral, nazwiska niestety, nie pamiętam, działonowy armaty przeciwpancernej, zamaskowany świetnie i pamiętający, że "Panterę" uszkodzić nie tak łatwo, z pełną świadomością dopuścił ją do siebie na odległość dosłownie 40 metrów i dopiero z tej odległości wygarnął do niej jak się patrzy, trafiając ją z boku i unieruchomiając od razu. Po chwili została "wykończona": następny pocisk zapalił ją, załoga spłonęła żywcem. Parę innych samochodów pancernych spotkał podobny los, reszta się wycofała. A taka "Pantera" mogła nas była dobrze wyrolować i nasiać zniszczenia . . .

NAPAD NA SZTAB BRYGADY

—W drodze na Falaise, zaledwie sztab naszej Brygady przybył na nowe miejsce, został znienacka napadnięty przez oddział niemiecki, złożony z sześciu samochodów pancernych i kilku motocykli, a wszystko po zęby uzbrojone w broń maszynową. Wychylony do połowy z samochodu pancernego oficer niemiecki ział ogniem ze swego "Spandaua". Z innych samochodów i motocykli to samo. Sytuacja wydawała się przez moment krytyczna, ale znów opanowanie i zimna krew naszych żołnierzy zwyciężyły. Sypnęło się parę granatów ręcznych na napastników i załoga pierwszego samochodu została wybita. Ten sam los spotkał i drugi samochód. Wykoziołkowało się paru motocyklistów, reszta zwiała, ale tuż opodal natknęła się na nasz oddział, także pancerny i wszystkie niemieckie samochody pancerne zostały rozbite. Uszły tylko coś dwa motocykle. Nawet ofiar w zabitych po naszej stronie nie było.

ROZBICIE SZTABU DYWIZJI SS.

—Inny Batalion naszej Brygady wraz z oddziałem czołgów dokonał brawurowego wypadu na Champeaux. Cały ten Baon został przewieziony przez las na czołgach, okrężną drogą, na odległość około 10 km. Ta przedziwna kawalkada czołgów z uczepionymi na nich żołnierzami wyruszyła w tę niecodzienną podróż ok. godz. 4-ej nad ranem, gdy było jeszcze ciemno. Zaskoczenie nieprzyjaciela było kompletne. Batalion wraz z czołgami rozbił sztaby dwu dywizyj S.S. i wziął do niewoli wielu wyższych oficerów niemieckich, w tym jednego generała.

ZACIĘTY LECZ SENTYMENTALNY

—Mówiliśmy panu o zaciętości polskiego żołnierza. Tak, jest on zacięty ale bywa też sentymentalny. Było to w Soignelles. Z naszej strony wyszedł patrol pod dowództwem plutonowego. W terenie natknął się na niemiecki patrol oficerski, t.j. dowodzony przez oficera. Nasz plutonowy był bystrzejszy i sprytniejszy: pierwszy spostrzegł przeciwnika i — ponieważ przeciwnik był liczniejszy — zaskoczył go znienacka ogniem ze swego "Stena". Oficer niemiecki padł ranny. Gdy nasz plutonowy wyszedł z ukrycia i zbliżał się do rannego oficera, ten schwycił za rewolwer, ale znów nasz plutonowy był szybszy, oddał powtórną serię ze swego "Stena" i oficer padł zabity. Przejrzał następnie jego papiery, jak powinien był zrobić i znalazł w nich fotografię żony i dziecka zabitego.

—Czemuż chciał do mnie strzelać, byłbym go przecież nie zabijał. Taką ładną miał żonę i takie miłe dziecko — opowiadał później sentymentalnie i ze szczerym żalem nasz plutonowy.

JAK TO NA WOJNIE . . .

Na wojnie dzieją się rzeczy krew mrożące w żyłach, potworności, czasem zdarzenia humorystyczne przeplatają się z makabrycznymi.

—W rzucie zaopatrzeniowym Brygady, parę kilometrów za jej tyłami, przebywał w jednej miejscowości już od trzech dni pewien kierowca, nieco starszy wiekiem, doświadczony wojak, bo w poprzedniej wojnie był podobno w niewoli austriackiej. Pewnego popołudnia zachciało mu się *cidru*. Zeszedł więc do piwnicy opuszczonej "cafejki". Przezornie zabrał ze sobą "Stena". Nie z nadmiaru wojowniczości. Bynajmniej! Oblatany był, przeto wiedział, że w piwnicy są beczki, pewnie duże beczki, więc taką trudno nachylić, trudno się do jej zawartości dobrać. I rzeczywiście! Przydał się "Sten". Nawet podwójnie! Puknął z niego jeden raz do beczki, kalkulując sprytnie, że pod dziurkę podstawi naczynie i będzie później pił jak sam pan Zagłoba. Aż tu, po oddaniu strzału, zamiast rozkosznego odgłosu lejącego się ciurkiem *cidru*, usłyszał jakieś podejrzane szmery.

Zrobiło mu się jakoś nieswojo i pierwszym odruchem drapnął ku wyjściu. Ale przypomniał sobie, że ma przecież "Stena", nabrał więc animuszu. Przywołał na pamięć całą swoją znajomość języka niemieckiego po dawnych latach niewoli austriackiej i ryknął najgroźniejszym na jaki go stać było, głosem:

—*"Deutsche verfluchte — heraus!"*

—Poskutkowało! Powolutku, z podniesionymi do góry rękami, wyszło z za beczki dwu Niemców. Przemyślny był nasz kierowca. Coprawda — zamiast napić się *cidru* — wziął do niewoli dwu *sniperów*. Ale po oddaniu jeńców wrócił do piwnicy, bo mu bardzo doskwierało pragnienie, a poza tym — jak sam o sobie mówił — lubił zawsze wykonać raz powzięty zamiar.

NAJMŁODSZY ODDZIAŁ DYWIZJI

Niech mi tu będzie wolno, mnie spisującemu fragmenty opowiadań uczestników o bojach oddziałów piechoty Dywizji Pancernej — zrobić małą dygresję.

W każdym żołnierzu, choćby nie wiem jak chciał się wydawać opanowanym i wolnym od uczuciowych obciążeń, tkwi przemożne poczucie przynależności do oddziału. I każdemu żołnierzowi, gdy przyjdzie mu się żegnać ze swym oddziałem, zawsze jest markotno, zawsze mu smutno. Następna notatka, a właściwie dwie następne, dotyczą mego oddziału, do którego przynależałem i którego barwy noszę jeszcze na kołnierzu. Chcę mu oddać w jakiś sposób hołd. Nie dlatego, abym chciał wywyższać go nad inne. Nie! Coprawda chcę dać upust tej naturalnej słabości żołnierskiej do macierzystego oddziału, ale z drugiej strony . . . Batalion Strzelców w zupełności na to zasługuje, ponieważ jest naprawdę wyjątkowym oddziałem /pod względem składu/, a poza tym jest to po dziś dzień najmłodszy oddział Dywizji Pancernej i z tego tytułu "benjaminkowstwa" ten przywilej mu przysługuje.

Jest najmłodszym oddziałem Dywizji, ponieważ został zorganizowany zupełnie od nowa w drugiej połowie ub. roku. Nie znaczy to, żeby miał samych świeżych żołnierzy. Właśnie pod względem składu jest nadzwyczajnym oddziałem. Najlepiej charakteryzuje jego skład jedna ze strofek piosenki batalionowej, śpiewanej na nutę "Morze, nasze morze":

My żołnierze starej klasy,
Specjaliści wszystkich sort:
Ka-e-miarze, pancerniacy,
Mechanicy, Pe-panc., o-pe-lo-ot!

Znamy wszystkie bronie,
Różne funkcje, kraje też:
Rosję, Libię, fronty, staże . . .
No i re-organizację też —
Tę to znamy wzdłuż i wszerz!

Są więc w tym oddziale ochotnicy z obu Ameryk /Brazylii, Argentyny, Kanady, bodaj nawet z Meksyku/, są żołnierze, którzy przeszli kampanię libijską, są żołnierze z kampanii wrześniowej, którzy przeszli gehennę cierpień na zesłaniach w alianckiej Rosji i przemierzyli w tej wędrówce pół Azji, są między nimi i chłopcy, którzy wywiezieni zostali do Rosji mając po kilkanaście lat i potracili tam ojców i matki i rodziny, są żołnierze pochodzący ze Lwowa, Wilna i całych naszych Kresów, są wreszcie specjalnego rodzaju weterani niemal wszystkich oddziałów naszej armii, jakie kiedykolwiek istniały w Szkocji /stąd przytyk w piosence do "reorganizacji"/. Muszę zastrzec się przed ewentualnym zarzutem, że wyliczeni wyżej żołnierze znajdują się i w innych oddziałach. Oczywiście, że tak, ale nie ma drugiego takiego oddziału, w którym by było ich tak wielu. Jakże miło było patrzeć, jak od samego początku to różnorodne bractwo zżywało się z sobą, jak zrastało się w wielką rodzinę — pod czułym i troskliwym okiem dowódcy, ppłk. dr. Zdz. S . . .

I ten Batalion wraz z całą Dywizją wziął udział w krwawych bojach w Normandii.

—Po wyjściu z Caen — zanotowałem z rozmowy z mymi przyjaciółmi na dworcu — Batalion otrzymał rozkaz zajęcia wzgórza Nr. 111. Batalion naciera, napotyka jednak na niezwykle silną obronę, liczne bunkry i zmasowany ogień artylerii i moździerzy. Dzięki ugrupowaniu w głąb, Batalion wytrzymuje ten ogień. Mimo powtarzanych kilkakrotnie przeciwnatarć niemieckich — nie tylko nie dał się zepchnąć ze stanwisk, ale poderwał się w odpowiednim momencie i w brawurowym ataku zdobył wyznaczone wzgórze, biorąc licznych jeńców i wiele materiału wojennego. Przez zajęcie wzgórza udaremnił jakiekolwiek dalsze uderzenie nieprzyjaciela na skrzydło Dywizji.

BOHATERSKA ŚMIERĆ KAPELANA

—Jedną z najpiękniejszych i prawdziwie bohaterskich postaci był ś.p. kapelan tegoż Baonu, ks. Wiktor Hupa — opowiadają ze smutkiem moi rozmówcy. — W ciągu tych krótkich tygodni pobytu z żołnierzami na froncie, zdołał zdobyć legendarną niemal miłość. Bo też był z nimi wszędzie: w najgorętszej bitwie i na postoju, w marszu i na placówkach. Organizował dla nich zaopatrzenie, chodził do intendentury, sam przynosił żołnierzom, czego im było brak. A w bitwie, w najgorętszych chwilach, pod ogniem, ten nieustraszony kapłan udzielał konającym ostatnich Sakramentów, lub pocieszał i opatrywał rannych. Doskonale odczuwał i rozumiał żołnierza, dla każdego miał dobre słowo i uśmiech, każdy też darzył go uśmiechem.

—Nosił na piersiach ś.p. ks. kapelan Hupa skórzaną torbę, w której, w czas bitwy, przechowywał Przenajświętszy Sakrament i oleje święte. Ta torba uratowała mu raz życie: granat moździerza wybuchł bardzo blisko, odłamek pokaźnej wielkości utkwił w torbie. Ale widać wyroki Boskie przewidziały dla niego męczeńską, bohaterską śmierć.

—Zaczęło się desperackie natarcie Niemców na wzgórze "Maczuga". Ks. Hupa, jak zwykle, na wysuniętych pozycjach uwijał się wśród rannych, niosąc przed sobą widoczny krzyż drewniany i znak czerwonego krzyża. Nie zważał na siekący ze wszystkich stron gęsty ogień broni maszynowej. I tam zginął.

—Do naszego wyjazdu — mówią moi rozmówcy — nie było dokładnie ustalone, jak zginął ks. kapelan Hupa. Jedna wersja mówi, że został rozerwany przez granat ręczny, rzucony przez nacierających Niemców, druga zaś — że został zadźgany przez Niemców bagnetami.

—Faktem jest, że wieść o śmierci Kapelana rozeszła się w czasie bitwy lotem błyskawicy po stanowiskach w linii i żołnierzy ogarnął z żalu po Nim szał zaciekłości: wtedy to zawrzała najzacieklejsza bitwa, wtedy zaczęła się bitwa na bagnety, na pięści, na zęby. Przez dwie godziny nie brano jeńców. Atak niemiecki został krwawo odparty, wzgórze "Maczuga" ponownie w krwi się skąpało, jego zbocza znów zaległy nowe ciała poległych.

"SNIPERZY" — PLAGA NOWOCZESNEGO POLA BITWY

—Na naukę i na przestrogę dla wszystkich żołnierzy, którzy są lub znajdą się na polach bitew — proszą mnie opowiadający — niech pan napisze o *sniperach* i ich podstępach, o tej prawdziwej pladze nie tyle samego nowoczesnego pola bitwy ile jej tyłów, choć właściwie wszędzie jest ich pełno. *Sniperzy* — są to doborowi strzelcy, specjalnie szkoleni, specjalnie dobierani, noszący specjalne mundury przystosowane do otoczenia.

—Działają zawsze z ukrycia, w którym przebywają całymi nieraz dniami, czekając na zbliżenie się ofiar na odległość strzału. Polują szczególnie na oficerów, dowódców, gońców, strzelają do *"jeep'ów"* z radiostacjami i t.d. Na polu walki, na froncie — nie ma już teczki na mapę, przewieszonej przez ramię, nie ma już lornetki, bo te rzeczy tylko ułatwiają *sniperowi* wyszukanie celu. Takich rzeczy już się nie nosi, nie należy nosić. Mapa jest konieczana — trzeba ją więc nosić w zanadrzu i ukradkiem zaglądać.

—Jest pole ze snopami, ustawionymi w kopy. W którym snopie jest *sniper*, a pod którą kopą znajduje się bunkier? Wszystkich snopów nie sposób przeszukać. Ale trzeba jednak przeszukać, jeśli tylko istnieją poszlaki, że mogą tam być *sniperzy*. Z jednego takiego pola wyłowiono ich — trzydziestu. Jeden z nich wyszedł z ukrycia za potrzebą naturalną i został zauważony. Ujęto go, po czym wyłowiono resztę. Przesiadują też wreszcie ci *sniperzy* na drzewach, na dachach, w piwnicach, w polach lub w gąszczach.

NOWOCZESNE POLE WALKI

Ze zdań wtrącanych tu i ówdzie przez moich rozmówców przebijało stwierdzenie, że w nowoczesnej walce nastąpiło jak gdyby odrodzenie piechoty. Piechota odgrywa dziś przodującą rolę w walce — oczywiście przy zgraniu wszystkich działań, zarówno z ziemi, jak i z powietrza. Nierzadko piechota o własnych siłach, przy pomocy będącej w jej rozporządzeniu broni, przeciwstawiać się musi czołgom i czyni to skutecznie. Zwłaszcza żołnierz piechoty w tak ruchliwej jednostce, jak dywizja pancerna, ma przed sobą zupełnie inne i nowe zadania, poza zadaniem zasadniczym objęcia, zorganizowania i utrzymania zdobytego terenu. Niemcy, zasiedzieli we Francji od tak długiego czasu, znali teren doskonale, wykorzystywali go umiejętnie, nawet wzięli za sprzymierzeńców liczne żywopłoty i sady, z poza których działały, albo poza którymi przemykały się niepostrzeżenie niewielkie oddziały piechoty ze *sniperami* i 2-3 czołgami.

Poza tym nowoczesne pole walki zmusza żołnierza do ciągłego napięcia uwagi z powodu tychże *sniperów* i błyskawicznych nieraz zmian sytuacji, a z uwagi na masowe stosowanie przez Niemców ogni moździerzy /10-lufowe moździerze sprzężone, odpalane elektrycznie/ — do ciągłego okopywania się.

Nowoczesne pole walki wymaga od żołnierza szczególnie silnych nerwów i siły fizycznej. Przedstawia ono, dzięki ogromnemu zmasowaniu wszelkich broni połączonych i lotnictwa, tak ogromne zniszczenie, że przechodzi ludzkie wyobrażenie. Niemcy stosują w znacznej mierze do swej artylerii pociąg konny. Na odcinku 10 km., na którym zaskoczył Niemców zmasowany atak wszystkich broni połączonych — nie pozostało nic, prócz zwałów rozbitego sprzętu, lejów, ludzkich i końskich trupów.

Gdy książe Bernard Holenderski, zwiedzając pole bitwy, przelatywał nad tym odcinkiem w samolocie na wysokości około 200 metrów, mówił, że nie mógł wytrzymać od zaduchu trupiego.

Dowódcy angielscy i kanadyjscy, którzy przeszli całą kampanię afrykańską od Egiptu poczynając, a następnie włoską — stwierdzili, że takiego zniszczenia jak na "Maczudze", Chambois, na wzgórzach 262, 252, 260 — nie było nawet pod El Alamein.

Tu właśnie krwawiła się i wsławiła się I Dywizja Pancerna z jej piechotą, przyczyniając nowego blasku chwały naszemu orężowi — do świeżych jeszcze blasków spod Cassino, Piedimonte, Monte Cairo, wzgórza "Widmo", Ancony i t.d.

Pociąg miał już ruszać, trzeba było skończyć rozmowę i notowanie. Zdaje się, że rozumiem, dlaczego moi przyjaciele wydawali mi się zmienieni w jakiś nieuchwytny sposób. Wszystko to, co widzieli, co przeżyli, musiało przesłonić dawny blask ich spojrzenia. Stwardnieli.

KAROL BOBAK

O rzeczach niezmiennych



Przygotowania do odlotu

Od autora:

Brygadzie i jej dowódcy te wspomnienia z ostatnich dni przed walką poświęcam.

Szczęść Boże od nas wszystkich.

NA KWATERZE U PANA OJCA

Istnieją rzeczy noszące na sobie jakby pieczęć nieśmiertelności, niezmienne, zawsze jednakie. Taki bywa szum drzew, taka jest wymowa gwieździstego nieba w noc letnią, uśmiech dziewczyny jest zawsze taki sam, odwiecznie niezmienny jest wygląd kwatery wojskowej — zarekwirowanego, przelotnego gniazda. Zmieniają się czasy, wojna w co raz to innych ubiorach i na innych scenach gra odwieczny dramat. Kwatery pozostają te same.

Nic więc dziwnego, że przyjechawszy do małego miasteczka, w którym stoi Brygada Spadochronowa, wszedłszy pod dach przeznaczonej mi kwatery, siadłem na ławce, przy sosnowym stole i zadumałem się głęboko. Tak, tak — i tu są ściany pełne dziur po wyrwanych gwoździach i tu woda kapie jednostajnie, z wieczyście niedokręconego kurka. Gdzież ja to wszystko widziałem? Oczywiście, że wiem. Nie tak dawno przecież kwatera była mi domem, biwak domowym ogniskiem, rodziną pluton. Niedawno, a jednak wieki temu. Bo wpoprzek rzeczy niezmiennych przepłynęły przez te dwa lata fale ogromne. Dzisiaj nie tak już łatwo, siadłszy sobie przy żelaznym piecyku, po kilkugodzinnej służbie opowiadać w gronie kolegów, jakto będziemy wracać najkrótszą drogą do tej Polski, którą sami potrafimy zbudować siłą młodych ramion. Groźne fale płyną wpoprzek naszych marzeń i planów.

Mój Boże! Powrót najkrótszą drogą. Któż ma prawo do tej drogi, jeśli nie oni, żołnierze Brygady Spadochronowej, którą przyjechałem odwiedzić. Przed kilkoma zaledwie tygodniami byłem obecny na najpiękniejszej uroczystości, gdy daleka Ojczyzna wręczała im swój sztandar, wyhaftowany rękami Polek. Wiemy wszyscy, jak bardzo zasłużony to dar. Nie tylko najwyższym wysiłkiem fizycznym i moralnym, ale niejednokrotnie i śmiercią okupić trzeba było prawo do najkrótszej drogi. Chwila, w której łaskawy los pozwolił mi zapoznać się z Brygadą, to chwila już przedostatnia. Organizacja zapięta na wszystkie guziki, stany pełne, sprzęt pierwszorzędny i w ogromnej ilości. Nie uprzedzajmy jednak faktów.

Staropolski obyczaj nakazuje przybyszowi, aby, zanim wciskać się zacznie w tajemnice rodziny, pokłonił się pięknie Panu Ojcu i o pozwoleństwo na gościnę zapytał. Tak też uczyniłem i ja. Poranek był wesoły, miasteczko uśmiechało się do słońca, gdy pod opieką jednego z oficerów Brygady szedłem do panaojcowego domostwa, w mowie potocznej zwanego Dowództwem. Rezultaty owego meldowania przeszły moje oczekiwanie. Tato nie tylko przed oblicze dopuścił, ale i ugościć dostatnio nakazał i środek lokomocji na czas trwania wizyty raczył przydzielić. Pięknie mu za to podziękowawszy, beret nałożywszy z fantazją, ruszyłem w świat. I tu się dopiero rozpoczyna właściwy reportaż.

RATUJMY LUDZKIE ŻYCIA

Otóż, na początku był szpital. Wprawdzie w życiu wojskowym stanowi on raczej akt ostatni sztuki, której na imię bitwa, nie mniej jednak, dzięki tajemniczości przypadków zacząłem moją podróż właśnie od szpitala. Nie żałowałem ani przez chwilę. W żadnej chyba dziedzinie nie poczyniono takich olbrzymich postępów, jak w organizacji Służby Zdrowia. Gdzież się podziały czasy, gdy pan Zagłoba doświadczoną ręką, chleba z pajęczyną ugniótłszy, ranę postrzelonego pachołka zalepiał.

Wprowadzono mnie do jasnej dużej izby, na której środku stał stół operacyjny, pod ścianami zaś niezliczone rzędy przyborów chirurgicznych. A te maleńkie pudełeczka, zawierające setki zastrzyków skondensowanych w mikroskopijnych pigułkach. A te cudowne zestawy z narzędziami, zamknięte w hermetycznych, napełnionych spirytusem puszkach. Imponująca sala. I pomyśleć, że jeszcze przed trzydziestoma minutami pokój był pusciuteńki, bo trzydzieści minut temu wylądowali na spadochronach lekarze i personel pomocniczy, niosąc na własnych plecach cały ten bezcenny dobytek. Takie było bowiem założenie ćwiczeń, dzięki którym miałem możność oglądania na własne oczy tych cudów organizacji i techniki.

A poza tym wszystkim, miło jest pomyśleć, będąc z zawodu poetą, że ostatecznie wojna nie tylko w zabijanie wkłada te niewiarygodne zapasy energii i geniuszu ludzkiego, że podtrzymanie człowieczego życia ma także pole do popisu. Przyjemna jest myśl, że człowiek nawet w czasie wojen nie przestaje być człowiekiem.

Dziękuję Kompanii Sanitarnej za gościnę i garść jasnych myśli. Jedziemy dalej.

TAJEMNICZE ZNAKI I CO PAN RADCA WIE O PPANCACH

Jakieś dziwnie ładne są drogi w tych okolicach Anglii. Mijamy oplecione zielenią domy i niebieskookie, zgrabne dziewczęta. Brygada rozrzucona jest na dość dużej przestrzeni i dzięki tej pomyślnej okoliczności mam czas, między jednym przystankiem a drugim pozbierać myśli i uporządkować pełną nowych wrażeń głowę. A wrażenia są.

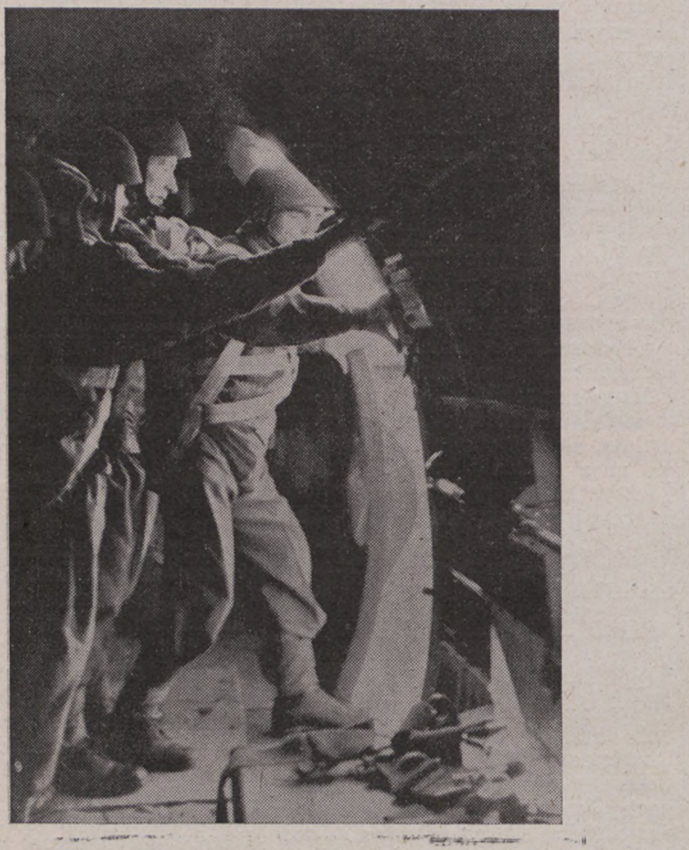
Na króciutkim przystanku, w warsztacie naprawczym ruch widzę wielki. Podjeżdżają co raz to nowe pojazdy; na ich maskach i bokach pojawiają się jakieś białe, tajemnicze znaki. Niech się cenzor nie boi. Nie zdradzę tajemnicy wojskowej. No a fakt, że niejedne niebieskie oczy łzami zajdą, że niejedno serduszko zaboli na widok tego gorączkowego malarstwa, to chyba nie tajemnica, lecz stara, jak świat prawda.

Oglądam jakieś przyczepki, pełne szufladek, a w szufladkach z pedanterią poukładane części zapasowe do pojazdów. Przypomina mi się oglądana rano Kompania Sanitarna. Tam także pudełeczka, zasobniki, drobiazgowa dokładność. Mam wrażenie, że cała Brygada siedzi w pudełkach. Tam, gdzie każdy centymetr sześcienny jest zagadnieniem wielkiej wagi, a każda zyskana minuta sprawą życia lub śmierci, tam drobiazgowość jest pierwszym przykazaniem żołnierskim. Za to, gdy się te pudełka zaczną otwierać . . . chciałem powiedzieć — “wrogowi nie życzę”, lecz nie, właśnie życzę z całego serca, żeby tej chwili doczekał.

Wkońcu jesteśmy na miejscu, będącym celem podróży. Przeciwpancerni. Dowództwo mają w prześlicznym starym zamku. Naokoło w parku również prześliczne, otulone puszystymi futerałami maskowania, stoją działa. Zdają sobie świetnie z tego sprawę, odpoczywając majestatycznie, że stanowią serce oddziału. Za niewolników mają małe, zalotne *jeepy*, lekkie motocykle, poważne i nieznające żartów skrzynie z amunicją, no i wreszcie żołnierzy.

Dowódca tych ostatnich, młody, jasnowłosy kapitan odpowiada ze zdumiewającą uprzejmością na moje natrętne, prawdopodobnie nie fachowe pytania. Powoli powstaje obraz oddziału w akcji. Niestety nie mogę pisać o tym tak obszernie, jakby tego wymagał ciekawy temat. Czytelnicy muszą się zadowolnić ogólnikami. Może prześliźnie się jakoś między nożyczkami cenzora fakt, że działa dostają się na ziemię albo przy pomocy spadochronów, albo na szybowcach, że muszą być błyskawicznie gotowe do akcji, że te zęby Brygady szczerzące się do nieprzyjacielskiej broni pancernej mają na pożarcie, już od pierwszej chwili ogromną ilość amunicji i że te zęby potrafią przegryźć kręgosłup najtęższych czołgów niemieckich. — “To jeden z najlepszych oddziałów Brygady” — objaśnia mnie mój towarzysz.

Wystarczy popatrzyć na cudną, troskliwie pielęgnowaną broń, wystarczy popatrzyć na twarze chłopców i porozmawiać chwilę z jasnowłosym ich dowódcą, aby tamtym słowom uwierzyć.



W samolocie przed skokiem

Godzina już późna. O tej porze nasi Londyńczycy udają się niezawodnie, po pracowicie przesiedzianym dniu, na kolację, która, jak powszechnie wiadomo, stanowi najlepszy pretekst do załatwiania kawałków służbowych i stwarza atmosferę sprzyjającą fabrykowaniu światowej polityki. O tej porze krząta się gorączkowo grupa żołnierzy około dział, które niedługo mogą się odezwać. A panowie w Londynie powiadają z zadowoleniem: “niech radca zrozumie, za moim argumentem stoi siła, wojsko panie dobrodzieju, wojsko popiera, mam pewne dane, że popiera”.

I patrząc po raz ostatni na tych żołnierzy, bo chwila wyjazdu się zbliża, pewien jestem, że pan radca z Londynu ma rację. Wojsko popiera argument. Ale tylko jeden, jedyny. Ten argument ma na imię: Polska. Bez żadnych innych, panaradcowych dodatków.

ŁĄCZNOŚĆ Z NIEBA

Noc już niebem pogodnym rozkołysała się nad uśpionym miasteczkiem. Mały *jeep* nic sobie nie robi z wyboistej drogi, która po to tylko trzęsie nas przez pół godziny, by wreszcie wyprowadzić w szczere pole. Na polu jednak ruch, błyski małych latarek, stłumione głosy wywoływanych stacyj. Łączność.

I ta sprawa inaczej tu wygląda, niż w innych jednostkach. Precyzyjna, niezawodna, odpowiedzialna za losy całej Brygady. Ciężka służba. Już sam skok ze stacją radiową przywiązaną do nogi, to nielada wyczyn. Gruby worek o miękkich resorujących ścianach kołysze się w jedną stronę, spadochron w drugą, a ostatecznie istnieje jeszcze i człowiek. I łączność trzeba nawiązać natychmiast i nie ma czasu na rozcieranie poobijanych nóg. Wyszkolenie 8 miesięcy. Czołem.

SZLAK KRWI I CHWAŁY

Jeszcze jedna, tym razem ostatnia noc spędzona na terenie Brygady. I dzisiaj kapie monotonnie woda z niedokręconego kurka, i dzisiaj patrzą na mnie smutne ściany kwatery. Całkiem jednak inne myśli napełniają głowę trochę zmęczonego, oszołomionego wiatrem całodziennej jazdy korespondenta. Do rzędu rzeczy nieprzemijających, dołączyła jedna, wspaniała, nakryta jedwabną czaszą spadochronu. Rzecz o polskim żołnierzu.

Widziałem go przy pracy, w świetlicy, w barakach, widziałem ze zmarszczką skupienia na czole, rozwiązującego tajniki swojej pięknej lecz trudnej broni, widziałem przy boku dziewcząt, z gestem szerokim, z promiennym słowiańskim uśmiechem, którym zwykł kupować ciepło w domach rodzin poznawanych na postojach. Gdy odejdą z miasteczka wielkim szlakiem, który zwykliśmy nazywać “szlakiem krwi i chwały”, nie zastanawiając się głębiej nad tym, że krew wytoczona z żył jest naprawdę i nieodwołalnie końcem życia, a chwała przypada w udziale niewielu szczęśliwym wybrańcom losu, gdy odejdą, cóż pozostanie po nich na dogasającym biwaku? Chyba tylko te ściany czekające na przyjęcie nowych, tak samo odzianych mieszkańców.

Nikt z żegnających Brygadę gospodarzy nie zrozumie, bo zrozumieć nie może, że rzecz naprawdę wielką żegnają skinieniem dłoni, że oto w rozpędzonych samochodach przejeżdża duch niezłomny, którego rzucić na kolana nie potrafił ani czas, ani samotność osieroconych serc, ani niewidzialne ręce Bóg wie jakich agentur, z Bóg wie jakiego działających rozkazu. W lecie czterdziestego czwartego roku, choć czytają dzienniki, słuchają radia, polscy żołnierze gotują się do akcji, wyciągają uzbrojone ręce po swoją “wolność tragiczną”.

JAN ROSTWOROWSKI

Po skoku



Spadochroniarze

Gdzieś dalekie imiona i kwiaty
Ból pogrzebał i serca nam zatruł.
Rozsypały się w niebie gorącym
Rozśpiewane skrzydlate eskadry.
Błyszczą w słońca olbrzymim ognisku
Nasze ptaki drapieżne, bojowe.
Los uderzył na drogach żołnierskich
W nowe dzwony — miarowo i twardo.

Nie powracaj do wspomnień zwęglonych.
Czarny dym nas zaczadził, pochłonął . . .
Przyczajeni — lub w skoku tygrysim.—
Bez tęsknoty — gdy w hełmie na bakier —
Jadowite płyniemy pająki,
Zawieszone pod mgłą spadochronów,
Poprzez mrok niekończącej się nocy,
W której gasną czerwone łzy rakiet.

W uszach gwiżdże powietrze rozcięte,
W oczach pustka smagana rozpędem.
Potem ziemia podejdzie pod gardło,
Głos ochrypnie od wiatru i piasku.
Krwawą łuną pęcznieją obłoki . . .

Może kiedyś z podróży obłędnej
Obudzimy się, szczęściem zdziwieni,
Że tam w dole, na Ziemi, tak jasno! . . .

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

"Bańdzie miał wpelone . . ."

Gdzieś daleko zajęczała syrena przeciwlotnicza, natychmiast dołączyła do niej druga, trzecia, tuż nad głową odezwała się inna, przygłuszyła wszystkie i łkała kaskadami świdrujących dźwięków.

Przymknąłem powieki i wtuliłem głowę mocniej w szorstką od pyłu poduszkę. Byłem zmęczony, niewyspany i marzyłem o spokoju za wszelką cenę. Syrena nie dawała jednak za wygraną. Zaczęła poźno, ale i wyła za to najdłużej.

Nie było rady. Siadłem na łóżku, obtarłem pierś ręcznikiem z kurzu i potu i wciągnąłem przez głowę koszulę "khaki".

Odezwaly się pierwsze strzały artylerii . . . Potem już wszystko działo się w oszałamiającym tempie. Najpierw zaskrzeczał klakson na dole w bazie, ogień artylerii wzrósł gwałtownie, tuż za murem zaczął szczekać "Bofors", dwa bliskie wybuchy zatrzęsły ścianami. Wybiegłem pośpiesznie, zatykając poły koszuli za pasek "shortów".

Niebo było usiane białymi obłoczkami szrapneli, tysiące pocisków smugowych wzlatywały wolno w górę, jak bańki gazu w szampanie. Huk był nieznośny i omal nieustanny, zmiany tylko w tonacji i charakterze. Głuche burczenie silników lotniczych przewijało się w tym piekle dźwięków, jak stale powtarzający się motyw w symfonii.

Było to piękne i obrzydliwe zarazem. Olbrzydliwe, bo człowieka ogarniało najpodlejsze uczucie na świecie — strachu . . . Mimo całego wysiłku woli, by go opanować.

Wściekle wzmagający się i wysoki gwizd rzucił mnie w kurz pod murem. Zatkałem dłońmi uszy i leżałem w najbardziej przepisowej pozycji "padnij". Nie pamiętam wrażenia wybuchu bomby . . . Była za blisko. Potem dziwiłem się tylko, dlaczego żyję. Ale strach minął. W schronie było już pełno.

Zygmunt popatrzył na mnie przez chwilę i spytał:

—Wróciła?

—Kto?

—Dusza z ramienia. Musiała tam być, bo masz cały rękaw usmarowany na czarno. Pysk też. Widocznie nie mogła trafić z powrotem w usta.

Zmartwiły mnie nieco te wywody. Nie chodziło mi tyle o stan mojej duszy, ile o koszulę. Ostatnia czysta, a prania ostatnio nie miały zwyczaju wracać z miasta. Na dobitkę dziś wychodzimy na patrol.

Nalot wciąż trwał. Schron trząsł się co chwila od wybuchów, mimo sześćdziesięciu stóp solidnej skały nad głową. Było nudno, tym bardziej, że wszyscy odwykli już trochę od długotrwałych nalotów, zwłaszcza w dzień.

Gdzieś blisko rąbnęło nagle tak, że aż się pył posypał ze skały.

—*That was a near one* — odezwał się któryś z Anglików.

Nasz dowódca oderwał się na chwilę od cowboy'skiej powieści.

—Czy okręt gotów?

—Był trzy godziny temu — odrzekłem.

—O ósmej wychodzimy — dodał "wódz" — a tu już kwadrans po piątej.

Nagle obudziła się we mnie służbowa gorliwość.

—Wyjdę zobaczyć co z okrętem . . .

—Cudna myśl — pochwalił mnie dowódca — tylko, że ja nie lubię chodzić na patrol bez zastępcy, no i nie zdążymy być na twoim pogrzebie . . .

—Jeśli będzie co włożyć w trumienkę białą . . . — dokończył Zygmunt.

Wreszcie ogłosili odbój. Okręt stał na miejscu i cały, ale jedno skrzydło bloku oficerskiego bazy, wraz z moją kabiną diabli wzięli. Mój *steward*, drobny, czarniawy Maltańczyk już grzebał w ruinach, starając się odkopać resztki mego doczesnego dobytku.

—*Very little left, Signor* — zastrzegł z góry.

Zbiórka załogi. Bosman sprawdził obecność. Krótkie przypomnienie rozkładu alarmowego.

—Pierwsza wachta objąć służbę. Za pół godziny meldować gotowość działów. Baczność! Rozejść się!

W messie na okręcie Karol z łącznikowym nad stertą sygnałów i tajnych rozkazów. Zygmunt użera się z kucharzem o prowiant oficerski.

—Panie poruczniku, dział elektryczny gotów, żyro chodzi od piętnastej.

—Dobra . . .

—Panie poruczniku, dział torpedowy gotów, aparaty zamknięte . . .

—Powietrze gotowe . . . — Drenaż gotów . . .

—Dobra, zamknąć klapy balastów! Meldować zamknięcie!

—Przemanewrować odwietrznikami, meldować otwarcie i zamknięcie!

—Uwaga, na szas! Otworzyć klapy balastów. Uruchomić dmuchawę!

W górę do kiosku, klapnięcie włazem.

—Sprawdzić szczelność okrętu, meldować do centrali!

I sam z latarką po zakamarkach, słucham, czy gdzie nie syczy jaka nieszczelność . . .

—Kucharz, do pioruna, zawsze na ostatnie pięć minut coś dłubiecie w chłodziarce i zawalacie przejście! Bosmanie, te hamaki tu nie mogą leżeć, nie ma dostępu do mechanizmów pomocniczych! . . .

Nareszcie koniec. Za dwanaście ósma. Dowódca jest na molo.

—Panie kapitanie, okręt gotów i szczelny!

—Dobrze, alarm manewrowy.

—Alarm manewrowy! Odkotwiczenie!

"*Good luck*" od dowódcy flotylli, kilka uścisków dłoni. "Wódz" jest na pomoście.

—Rufę rzuć! Lewy motor pół wstecz, prawy wolno na przód! Ster lewo na burt!

Pokiwali ręką, pomachali czapkami i poszli. Tuż za falochronem świeża fala bryznęła w twarz i nalała wody za kołnierz.

Znów na trzy tygodnie blisko . . .

* * *

Zdałem wachtę peryskopową o szesnastej, ale nie mogłem spać. Leżałem na koji z szeroko otwartymi oczyma i wsłuchiwałem się w monotonny brzęk żyrokompasu i szorstki syk przetwornicy.

—Ta przetwornica jest trochę za hałaśliwa — pomyślałem.

Wydostałem się ze swojej koji zręcznym, i skomplikowanym manewrem, tak aby nie kopnąć w twarz śpiącego Karola i poczłapałem poszukać szefa elektrykarzy.

U bosmanów w messie światło, kakao na stole i namiętna dyskusja na temat rabunkowej gospodarki w osiedlach robotniczych na Obłużu. Szef elektrykarzy poszedł zmienić szczotki we wspomnianej przetwornicy, ja dostałem filiżankę kakao i musiałem przyznać, że w kooperatywie robotniczej na Obłużu musiał gdzieś siedzieć jakiś "złodziej, łobuz i łapówkarz", choć pierwszy raz w życiu o całej aferze słyszałem.

—A jak było z działkami w Chylonii? — spytałem, by podtrzymać rozmowę.

—Ba, w Chylonii — rozpoczął wywód szef torpedowy, lecz nie dokończył, bo doszło do nas jakieś podniecenie z centrali. Po prostu tknęło nas, jak prąd elektryczny, choć nikt nic nie słyszał. Szósty zmysł — zżycie z okrętem.

Zygmunt już kazał obudzić dowódcę. Prawo piętnaście, dużo dymu na horyzoncie.

Dowódca popatrzył przez peryskop.

—Dobrze — rzekł wolno, nie odrywając oczu od szkieł — motory równolegle, pół naprzód. Peryskop w dół! Zejść głębiej.

Kilka suchych trzasków hebli elektrycznych i okręt zaczął się trząść zlekka na dużych obrotach.

"Wódz" z Zygmuntem kręcili korbkami kalkulatora torpedowego i rozmawiali półgłosem. Zaspany i rozczochrany Karol sapał nad stołem nawigacyjnym, szperając w mapach.

Minęło piętnaście minut.

—Motory szeregowo, wolno na przód! Na peryskop!

Znów stłumiony dzwonek telegrafów i trzask hebli na tablicy rozdzielczej. Radiotelegrafista wytknął głowę w słuchawkach ze swojej kabiny i patrzył okrągłymi oczyma.

—Zaraz rutyna, panie poruczniku.

—Nie słuchać jej — burknąłem.

—Wyprowadziłem okręt do góry.

—Dać alarm bojowy podwodny — odezwał się "wódz". Kilka przeciągłych buczków i wszczął się szybki, sprawny ruch po okręcie. Uruchomiłem pompy, by utrzymać trym.

—Bardzo ładny konwój. Jeden pasażer, pewno z wojskiem. Jeden tankowiec — mówił dowódca. — Atakujemy obydwa. Sześć i dziesięć tysięcy ton. Eskorta jest, owszem . . . Raz, dwa kontrtorpedowce i traulerek . . . No to "bańdzie miał wpelone" — dokończył gwarą kaszubską.

—Zmiana kursu, dojście na pozycję.

—Odpalać na rozkaz . . . Uwaga na aparatach . . .

—Szybkość nieprzyjaciela jedenaście węzłów — mówi Karol.

—Kąt celowania zielony siedemnaście.

—Dobrze, nastawić . . . Nadchodzi . . .

—Pierwsza pal!

Oj, nie lubię tego odpalania na rozkaz, bo tak trudno trzymać wagę okrętu . . .

—Druga pal!

—Trzecia pal!

—Czwarta pal! . . . Motory równolegle cała na przód, ster prawo na burt!

Uciekamy głęboko . . . Zygmunt patrzy niespokojnie na stoper . . . Jest wybuch! . . . Drugi . . . Czwarty! Trafiły wszystkie!

—Motory wolno . . . Cisza na okręcie . . .

Zaczynają się głuche detonacje i wstrząsy bomb głębinowych. Podsłuchowiec melduje ruchy kontratakujących. Liczymy bomby.

—Odchodzą — melduje podsłuch.

Nie słychać już wybuchów. Dowódca decyduje się wyjrzeć przez peryskop. Wychodzę okrętem ostrożnie do góry . . .

—No ślicznie. Oba "uskutecznione na szaro". Chcesz zobaczyć?

"Pasażera" nie widać. Utonął. Rozbitkowie z niego, wojsko, smażą się w płonącej ropie, która rozlała się z tonącego tankowca. Kontrtorpedowce krążą zdala, usiłując ratować kogo można . . .

—Nic tu po nas — mówi dowódca.

—Nawigacyjny, kurs na wyjście z sektoru . . .

* * *

"Śniadanie" dziś wieczorem było trochę spóźnione, ale kucharz zrobił zato doskonałe naleśniki z serem . . .

ANDRZEJ GUZOWSKI

Skrzynka pocztowa

W SPRAWIE FUNDUSZU ... SIERÓT PO POLEGŁYCH ... W WARSZAWIE

Drogi Redaktorze,

Czytałem niedawno, iż P. Kazimiera Skalska, matka śp. podch. Zbigniewa Iskrzyńskiego, poległego na polu chwały w Normandii, złożyła kwotę £3 na zapoczątkowanie Funduszu Sierót po poległych w Warszawie.

Sądzę, że inicjatywę P. Skalskiej powinni wszyscy uznać za swoją i poprzeć jak najusilniej, a "Polska Walcząca" nie zaprzestając dotychczas prowadzonej zbiórki na rzecz pomocy dla Polaków w Rosji i na "Paczki od serca" — powinna szeroko otworzyć swoje łamy dla tej sprawy.

Dług nasz, i nie tylko nasz wobec Stolicy — rośnie z dniem każdym. Nie zdołamy spłacić go nigdy, bo nie może być rekompensaty, ani zapłaty, ani wdzięczności za poświęcenie i bohaterstwo na miarę Warszawy i walczących w niej żołnierzy Armii Krajowej. Ale możemy i powinniśmy zrobić wszystko, co w naszej mocy, aby dać dowód, że nie jesteśmy tylko przejętymi do głębi, ale biernymi świadkami tej walki niezłomnej. Poparcie Funduszu Sierót po poległych w Warszawie będzie więc jednym z licznych środków wyrażenia naszej duchowej solidarności z Tymi, co walczą i giną w Warszawie i naszej wiary, że Prawda, o którą toczy samotny bój Stolica Rzeczypospolitej zatriumfuje i zwycięży.

Łączę koleżeńskie pozdrowienia.

Ludwik Bojczuk

JAK KORESPONDUJĄ LOTNICY

W nr. 27 "Polski Walczącej" z b.r. ogłosiliśmy p.t. "Szlemik bez atu hrabiego Olesia" sylwetkę świetnego lotnika mjr. Gabszewicza, który otrzymał pierwszy w lotnictwie złoty krzyż "Virtuti Militari". W związku z tym autor artykułu Gustaw Nierad — otrzymał wierszowaną krytykę, na którą odpisał też wierszem. Drukujemy tu tę wierszowaną korespondencję.

Szlemik bez atu "Hrabiego Olesia" — bez trzech z contrą

Najtrudniej zawsze zacząć —
później jakoś idzie.
Ja zacząłem od szopki . . .
I w tym nowym satyrycznym widzie
mówię wszystkim — wszystko. Co
do kropki.
Z pewną dozą uśmiechu czy kpiny,
Z lekką drwiną — wszak satyry
to prawo —
Staram się umilić godziny
I te chwile, co płyną nieżwawo.

Stary Zygmunt miał swego
Stańczyka,
Co mu w smutek i gorycz śmiech
mieszał . . .
Aleksander ma Gustawa, chłopczyka,
Co choć "Nierad" — psów na nim
nie wiesza!

Nie wiem nawet o co mu chodziło,
Lecz z "Nierada" — nierada
brać nasza . . .
Owszem, ładnie z jego strony —
bardzo miło
Ale . . . ale pocóż tych kadzideł
czasza?

Pocóż zaraz wyolbrzymiać szczodrze,
Pocóż wnosić w górę na piedestał?
Kiedy wszyscy wiemy bardzo dobrze
Gdzie "Staś" stoi — "Oleś"
jeszcze nie stał!

Panegiryk, propaganda, banał,
chyba
już przejadło się to wszystkim
srodze.
Coś się potknął nasz
psycholog-skryba
Na swej śliskiej literackiej
drodze . . .

Zadowolił siebie i Tymona
Over-prajsnął "Hrabiego Olesia",
Wziął trzy funty — zawszeć to
mamona —
I znów przysiadł w chwale, jak
w niebiesiech.

Appledram, lipiec 44 r.

Re-contra z jedną nadróbką

Najłatwiej zawsze zganić — samo
to jakoś idzie,
pochwalić zawsze trudniej.
Pochwalisz — to cię zganią, pogrążą
cię we wstydzie,
złośliwie, a obłudnie.
"Mów dobrze o swych bliźnich" —
tak mnie uczyli w domu,
lecz wśród lotniczej braci:
"Psy wieszaj na każdego, byle by
pokryjomu"
— to lepiej się opłaci.
Każdego mieszaj z błotem, a bez
zmrużenia powiek
każdy ci wnet przyklaśnie.
Lecz spróbuj szepnąć tylko:
"bardzo porządny człowiek",
— to wazelina właśnie.

O Olku śmiałem pisnąć, że był
kochany chłopak,
o, to już jest — "piedestał"!
Czy to naprawdę trzeba rozumieć
tak na opak,
— czy brakło rymu do: "nie stał"?

Zdradziłem tajemnicę, że dobry ma
apetyt,
o, to już są — "kadzidła"!
Trzeba przypomnieć komuś /ale nie
mnie, niestety/,
o igłach i o widłach.

W tej wojnie — o wolności
walczymy ponoć cztery,
lecz boli mnie wątroba
o piątą: żebym mógł też —
pochwalić, do cholery,
kogo mi się podoba.

P.S.

W bój więc ruszam całą duszą
i na złość Faryzeuszom.

z miejsca idę piać peany:
Olek właśnie j e s t kochany!

Roch nie kocha mnie ni trocha,
lecz mężnego cenię Rocha.

Mądrość, dzielność — któż wysłowi,
co czuję ku Witoldowi!

Jeśli zacność omawiana —
któż zacniejszy od Stefana?!

Staś, rzecz prosta, ma piedestał —
stoi tam, gdzie Olek nie stał.

A ja sobie stoję w kole
i wybieram, kogo wolę.

Gustaw Nierad

NA "PACZKI OD SERCA"

Szanowny Panie,

Przesyłam prenumeratę kwartalną sh.3 począwszy od dnia 1-go sierpnia i proszę o przysłanie zaległych numerów. Jednocześnie załączam na paczki dla jeńców: £1 od płk. Kam . . . wygrany zakład, oraz sh.10 od żołnierzy świeżo przybyłych z Normandii, którzy wpłacili za wypitą kawę w Polskim Klubie w Peebles /kwota ta nie została przyjęta przez dyżurną Klubu, która ich zaprosiła/.

Z poważaniem

Zofia Bobińska

* * *

"Polska Walcząca",

Dla polskich jeńców w Niemczech na "paczki od serca" przesyłam 15 szylingów, jako nieprzyjęte honorarium przez ks. kapel. Miczkę za odprawioną żałobną mszę św. w piątą rocznicę śmierci Ojca i Siostry, którzy stracili życie podczas Kampanii Wrześniowej.

Roman Zawadzki

* * *

Redakcja "Polski Walczącej",

Przesyłam w załączeniu P.O. na sh.3 jako składkę na "paczkę od serca", złożoną przez st. strz. spad. J. Osow . . .

Z poważaniem

Oficer Opieki Polish Forces P/100

* * *

W dniu imienin mojej matki przesyłam sh.10 na "paczkę od serca" dla jeńców polskich w Niemczech.

Kmicic

* * *

Dwadzieścia pięć funtów /£25/ zebrane przez personel Polskiej Stacji Bombowej i 300 Dywizjonu Bombowego, na paczki od serca, przesyła

Kapelan Polskiej Stacji Bombowej

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £27.18.0 /słownie: dwadzieścia siedem funtów, osiemnaście szylingów/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Na pomoc Warszawie

Dear Sir,

I sent you a cheque, a duplicate one for £5.5.0 in February, to replace that which was invalidated by the death of General Sikorski.

I now enclose another cheque for £5.5.0, which I would like you to use for help for Warsaw if it is possible.

I have been following most carefully all the phases in the terribly difficult political situation in connection with the Polish Government, and wish to express my deepest sympathy and admiration for it and for all the brave people of Poland.

My prayers are daily with you all. May justice and generosity be shown to you.

Please will you tell me if you have a department to which clothes in good condition may be sent? I should like to send you some warm clothes which could eventually help some brave woman in Warsaw.

Long live Poland!

Yours sincerely,

Mary Teresa Parnell

Ladymead, Hindhead, Surrey.

* * *

Przesyłam w załączeniu przekaz na £170 sh.7 d.9½ /sto siedemdziesiat funtów, siedem szylingów, dziewięć i ½ pensów/ zebrane w Szpitalu Woj. Nr. 1 na pomoc Walczącej Warszawie i uwięzionym w Pruszkowie.

ppor. Zbigniew L. oficer opieki

* * *

Kochany Redaktorze,

W załączeniu przesyłamy Money Order na kwotę £11 /jedenaście funtów szterlingów/ zebraną w drodze doraźnej zbiórki w świetlicy Domu Żołnierza w Edinburghu z okazji "Godziny poezji i muzyki" poświęconej Warszawie w wykonaniu członków naszego zespołu.

Kwotę tę ofiarodawcy przeznaczają na Fundusz Sierót po poległych w Warszawie.

Łączymy koleżeńskie pozdrowienia.

Czołówka Teatralna "Lwowska Fala"

* * *

Redakcja "Polski Walczącej",

Żołnierze C.W.Sap. i Sekcji N. Wodza przesyłają £6.10.0 /słownie: sześć funtów i dziesięć szylingów/ na pomoc Warszawie — z okazji wyświetlania filmu o Polsce przez Wojskową Czołówkę Filmową.

D-ca Komp. Szkol. w/z. St. Pa r . . . , kpt.

* * *

W ślad za "Urlopowanym Porucznikiem", który ofiarował £5 na cele bohaterskiej ludności naszej stolicy, przesyłam £5 na pomoc.

Warszawa — stolica Polski krwawi, trudno dostać pomoc od obcych, ale my Polacy tu w W. Brytanii oraz rozsiani po całym świecie, winniśmy natychmiast pośpieszyć z pomocą. Dać jaknajwięcej — ile nas naprawdę stać.

Każdy z nas posiada pewne oszczędności i powinien przesłać ZARAZ tyle ile tylko może i opodatkować się na długi czas od pensji, poborów, żołdu oraz renty inwalidzkiej. Wiele można sobie odmówić i tym sposobem popłyną do nich-BOHATERÓW tysiące funtów, dla ratowania życia i wybawienia ich od śmierci. Wszyscy, w których bije polskie serce, wszyscy, w których płynie polska krew — POMÓŻCIE BOHATERSKIEJ WARSZAWIE.

Tysiące najlepszych synów i córek naszej Ojczyzny CZEKA NA NASZĄ POMOC.

Inwalida wojenny P.S.P. F.S.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze!

Grono urzędniczek Wojskowego Instytutu Technicznego /9 osób/, w załączeniu przesyła M.O. na kwotę £10 /dziesięć funtów/, z uprzejmą prośbą o przekazanie tej sumy na Fundusz Ratowania Dzieci Walczącej Warszawy.

Urzędniczki Wojskowego Instytutu Techn.

* * *

Wielmożny Panie Redaktorze,

Niniejszym przesyłam postal order na sumę sh.10 /dziesięć szylingów/ na pomoc dla obrońców Warszawy

Serdeczne pozdrowienia dla Redakcji zasyła

Józef Grabowski

* * *

Łączną sumę zbiórki w tym i poprzednim numerze w wysokości £217.7.9½ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

NA POLAKÓW W ROSJI

W dniu imienin mojej matki przesyłam sh.10 na polskie dzieci w Rosji.

Kmicic

NA GROBY LOTNIKÓW

Redakcja "Polski Walczącej",

W siódmą rocznicę tragicznej śmierci ś.p. plut. pch. pil. Tadeusza Strumieńskiego z Krakowa, przesyłam £1 na upiększenie grobów poległych w W. Brytanii polskich pilotów.

Brat

DLA RANNYCH ŻOŁNIERZY

Bezimiennie przesyłam £1 na papierosy dla rannych żołnierzy 1. Dyw. Panc.

NA KAPLICĘ W MONTE CASSINO

Szanowny Panie Redaktorze,

Przesyłam w załączeniu £3 /trzy funty/ na "Kaplicę w Monte Cassino" od pensjonariuszy Domu Wypoczynkowego Spothouse.

Z poważaniem

M. Kozłowska

NA WDOWY I SIEROTY PO POLEGŁYCH ŻOŁNIERZACH 14. WIELKOPOLSKIEJ DYWIZJI PIECHOTY

Redakcja "Polski Walczącej",

W załączeniu przesyłam P.O. na sh.10 z przeznaczeniem na wdowy i sieroty po żołnierskich b. 14. Wielkop. D.P.

A.J.S.

POSZUKIWANIA

Poszukuje się PIOTRA ŁASKAWCA /ostatni adres Polish Forces P/93/. List wysłany pod tym adresem został zwrócony z adnotacją, że adresat nieznany. Ewent. wiadomości prosimy nadesłać do redakcji "Polski Walczącej".

* * *

Poszukuje się STANISŁAWA ŚWIESZCZA, urodzonego w dniu 20 lipca 1903 r., b. urzędnika Banku Rolnego we Lwowie, zamieszkałego tamże na Stryjskiej nr. 36. Aresztowany we Lwowie w 1940 r. umieszczony w więzieniu przy ul. Jachowicza we Lwowie. W dniu 15 maja 1941 r. wyprowadzony i od tego czasu wszelki słuch o nim zginął. Według przypuszczenia został umieszczony w więzieniu w Brygidkach lub na Zamarstynowie we Lwowie.

Wszystkie osoby mogące udzielić dalszych informacji uprasza się najusilniej o niezwłoczne kierowanie ich do redakcji "Polski Walczącej".

* * *

Mieczysław HEDINGER, ur. w Poznaniu 1919 roku, poszukiwany przez brata. Wiadomości do Redakcji "Polski Walczącej".

* * *

Pauzder Franciszek z Grudziądza poszukuje braci.

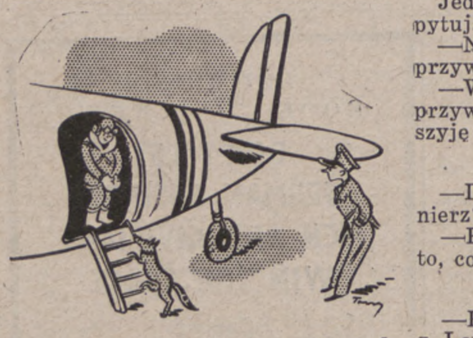
DO RANNYCH ŻOŁNIERZY-STUDENTÓW

Ranni członkowie Zrzeszenia Studentów Polaków, jak i studenci nieczłonkowie, którzy znajdują się w szpitalach na terenie W. Brytanii, proszeni są o śpieszne podanie nazwisk i adresów do Zarządu Głównego Z.S.P., 45, Belgrave Sq., London, S.W.1.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

TROPICIELE



—Panie poruczniku, pan wie że do samolotów nie wolno brać psów, kotów?

—Ależ to jest pies policyjny. Lecimy na poszukiwanie maszyn niemieckich . . .

WAŻNE POWODY

—Słyszałem, że ma pan wkrótce pojechać do Paryża, na piękną organizacyjną robotę!

—Owszem chcą mnie wysłać, tylko się zastanawiam, czy to się opłaci! Nie sądzę, żebym po czterech latach mógł zastać jeszcze ubranie, parę butów i trzy koszule . . .

PO ZNANEJ PODRÓŻY

Jednego z uczestników podróży zapytują znajomi w Londynie:

—No, niech pan mówi, co pan przywiózł? Jesteśmy bardzo ciekawi!

—Właściwie nic. Nic się nie dało przywieźć, chociaż kawioru było po szyję . . .

NA ULICY . . .

—Dlaczego macie rozpięty kołnierz?

—Ponieważ brak mi jest słów na to, co się dzieje w świecie . . .

OSTATNIA CHWILA

—Pan wie o tym, że wszyscy z Londynu mają być powołani do wojska?

—Co pan mówi!?

—No tak, przecież lada dzień kończy się wojna . . .

LITOŚCIWE . . .

—Wie pani, żal mi jest tego Hitlera. Po takich sukcesach, zwycięstwach — taka klęska!

—No właśnie! I ktoby to przypuszczał . . .

KOMENTATORZY . . .

—Jak tak dalej pójdzie, to nie wiem gdzie się Niemcy zatrzymają . . .

—Ja wiem — chyba pod Stalingradem . . .

WŚRÓD PANCERNIAKÓW

—Feluś, ale z tego Maczka to fajny krawiec!

—Chcesz powiedzieć, że ładnie Niemców pokrajał i wyfastrygował!? . . .

—To detal, tylko jak im ładnie zaszył worek! . . .

W EDYNBURGU

—Czy pan wraca do Londynu?

—Jeszcze nie. Czekam . . .

—Na co?!

—Aż zajmą Dunkierkę i ostatnią wyrzutnię latających bomb . . .

RZECZY CIEKAWE, ZABAWNE I POŻYTECZNE

Czy wiecie:

1. Co to jest hegira, hetera i megera?

2. Gdzie jest Beyrout a gdzie jest Bayreuth?

3. Jaka jest różnica między wolframem a tungstenem?

Odpowiedzi znajdują się na końcu tego kącika.

Czyta się i słyszy się wciąż o rozmaitych angielskich formacjach wojskowych, ale nie zawsze zdajemy sobie sprawę z ich siły. Następująca tablica podaje odnośne cyfry:

Kompania: 80 — 160 ludzi
Batalion: 1000 — 1500 ludzi
Brygada: 3500 — 5000 ludzi
Dywizja: 12.000 — 15.000 ludzi
Korpus: Dwie lub trzy dywizje
Armia: Trzy korpusy

Dowódcą kompanii jest kapitan, batalionu — podpułkownik, brygady — brygadier, dywizji — *major-general*, korpusu — *lieut.-general*, armii — *general*.

/d/

Nienawiść jaką Irlandczycy czują do Anglików jest przysłowiowa, co nie przeszkadza im jednak mieszkać w Anglii a nawet czuć po angielsku. Następująca anegdota daje doskonały obraz tej paradoksalnej sytuacji:

Pewien dziennikarz amerykański rozpoczął rozmowę z młodym Irlandczykiem na okręcie jadącym z Anglii do Dublina:

—"Dlaczego nie pozwalacie Anglikom na użytkowanie swoich baz morskich" — zapytał dziennikarz?

—"Bo nienawidzimy Anglików" — odrzekł młodzieniec.

—"Czy chcecie, aby przegrali wojnę?"

—"Przeciwnie, chcemy, aby ją wygrali!"

—"Cóż więc robicie, aby im pomóc?"

—"Ja . . . jestem pilotem w R.A.F." — odrzekł młody Irlandczyk.

/d/

Odpowiedzi:

1/ Hegira to była ucieczka Mahometa z Mekki do Medyny, uznana jako pierwszy rok ery mahometańskiej. Hetera to była starogrecka kurtyzana, a megera była jedną z Furii.

2/ Beyrout /albo Beirut/, port w Syrii. Bayreuth, miasto w Bawarii, gdzie żył i został pochowany Wagner. W operze w Bayreuth wystawia się wyłącznie opery Wagnerowskie.

3/ Nie ma żadnej. Są to dwie nazwy tego samego pierwiastka. Jest to metal bardzo twardy i o bardzo wysokim punkcie topnienia.

/d/

HUMOR DLA PANCERNIAKÓW

Mówią w 1. Dywizji Pancernej, że przysłowie: "Wpadł jak śliwka w kompot" — przestało być aktualne. Dzisiaj mówi się: "Wpadł, jak Hitler w worek Maczka" . . .

FACHOWE WYJAŚNIENIE

—Pan wie dlaczego znoszą black-out?

—Ponieważ jest już niepotrzebny!

—Gdzie tam, tylko dlatego, że zlikwidowano we Francji latające bomby. Teraz bomby już nie widzą celu . . .

W SZPITALU — PRZED ZWOLNIENIEM



—Co wam dolega?

—Nie widzę!

—Na które oko?

—Na wszystkie — nie widzę końca wojny! . . .

Tekst i rysunki: TONY

POSZUKIWANIE

Kpr. Pchor. HENRYK WILK, Polish Forces C.M.F.229, poszukuje pchor. Bohdana GRAFFA z Warszawy, pchor. Zenona MYCZKOWSKIEGO z Krakowa i Adolfa RICHTERA z Krakowa.

SPIS-RZECZY:

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.

Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2 Registered at the G.P.O. as a newspaper.